

BARBARA ROSIEK

ALKOHOL, PROCHY I JA

CZEŚĆ I

PIJANE ŻYCIE

rano budzę się z kacem życia pragnę odejść
znam kilku potencjalnych samobójców
to nic Panie Boże -
mawiam
przecież bywa i tak
że nas ratują
kiedy śnimy o miłości
która nie może się spełnić
i wtedy powoli chlejemy wodę ćpamy wieszamy się
tak zwyczajnie na rurach w łazience
a później nas odcinają jak pępowinę
i już możemy modlić się do Boga którego zabrakło
jak życia jak wody czy narkotyku
nie chcę pani Alicjo być psychotyczna
ale nie mam już wyboru
schizo to też życie
a jutro od nowa się uchleję codziennością
i obudzę się z kacem życia
amen

7 lipca 2002 roku

czerwiec 2002

W ciągu ostatnich jedenastu lat byłam około trzydziestu pięciu razy w szpitalu psychiatrycznym u doktora Mirka Sternalskiego w Częstochowie, ale o tym będzie inna książka.

Pomiędzy szpitalami musiałam funkcjonować samodzielnie, to jest nie świrować, nie halucynować.

To było bardzo trudne.

Musiały wystarczyć jedynie niskie dawki prochów, ale to było niemożliwe. Na trzeźwo, no prawie na trzeźwo, nie radziłam sobie ze światem. Czyli z sobą i tym, co przeżywam. Ogoniasty czuwał i namawiał mnie do samobójstwa, a przecież nie mogłam cały czas siedzieć za szpitalnymi kratami. To było zbyt trudne, kiedy czułam, że oddział mnie drażni i męczy, oznaczało to powrót do domu, ale zawsze okazywało się, że dom też był nie do uniesienia z Ogoniastym na karku, więc zabierałam go w podróż po całym świecie albo zapijałam prochy alkoholem, wtedy Ogoniasty był łaskawy i nie kazał na przykład wieszać się na linach w łazience.

Niedawno wyszła „Kokaina”, pisałam ją w bardzo dziwnym stanie psychicznym po to, by przeżyć wbrew sobie i Bogu, na nieszczęście mnie samej, a komu na szczęście jeszcze nie wiem.

Jest upalnie, Tata już nie żyje, Mama gdzieś wyszła, wczoraj miałam dół i napisałam list do pani Alicji, a wcześniej byłam u doktora Marka w przychodni. Ucieszył go nowy wiersz, mówił, że przebiłam Wojaczka, a ja na to, by nie mówił mi takich rzeczy, bo Ogoniasty od razu podsunie w domu pętlę, więc postanowiłam wytrzeźwieć i przyśniła mi się ta książka.

Dzisiaj jeszcze nie wzięłam prochów, a byłam przez ostatnie dwa tygodnie w ciągu alkoholowym z prochami, które wywołują przyjemne wrażenie, że nie istniejesz tu i teraz, jakby nie było rur w łazience czy halucynacji, ale Ogoniasty jest zawsze, a poza tym nie mam zamiaru się go pozbywać.

Kiedy mam nakaz samobójstwa, kiedy przestaję kontrolować, ile prochów wzięłam i zapiłam wodą, kiedy wydaje mi się, że mogę skończyć, podświadomość robi mi brzydki kawał i zsyła nowy pomysł na książkę. Nie wiem, kto jest tak okrutny, Bóg czy ja sama? Tak naprawdę jeszcze się tam nie wybieram.

Mam już wiernych czytelników, którzy wspólnie ze mną zamartwiają się i przeżywają moje słowa wydrukowane przez życzliwych wydawców. Sława powoli mnie osacza, ale przecież zawsze można wziąć dodatkowego psychotropu i zapić. Wtedy świat nie istnieje.

Życie bez obowiązków i przeszłości zaczyna mi się podobać, ale nie podoba się mojej

wątrobie, sercu i mózgowi. Nagle stwierdziłam, że miewam zaburzenia świadomości, inni mówią o sytuacjach, w których uczestniczyłam, a tego nie pamiętam. Przecież wszyscy nie mogą kłamać... Trochę się tego wystraszyłam, zmniejszyłam ilość prochów o połowę i wytrzeźwiałam, przestając chlać. I w końcu pojechałam na XXX Noc Poetów do Krakowa, a nie widzieli mnie tam chyba ze cztery lata. Nie wiem, czy dobrze robiłam, odzyskując na tę noc trzeźwość, czas pokaże, ale przynajmniej zaistniałam jako poetka, i choć sława nie była mi potrzebna. Na szczęście w swoim mieście byłam na ulicy anonimowa, nikt nie znał mojej twarzy z telewizji, bo nie zgadzałam się na jej odkrycie. Odrzucałam wszelkie propozycje wystąpienia na forum publicum. Co za ulga, mogłam po prostu wyłączyć telefon i nie odpowiadać na listy.

Moja epopeja psychiatryczna, która zaczęła się jedenaście lat temu, chyba się skończyła, ale była niemożliwa bez wódki i prochów.

Gdzie było moje ja, tego nie wiem. Chyba przy maszynie do pisania.

Czasami byłam Bogiem. Nie odpowiadał mi jednak stan nieustannej wszechmocy, wolałam być Basią, która pisze o swoich fantazjach i marzeniach.

Pani Alicja próbowała ze mnie zrobić kobietę. Mam nadzieję, że do tego nie dojrzeję, choć przecież u łóżku z facetem stawałam się kobietą, a może, na czas ożywczego orgazmu, dzikim zwierzęciem. Byłam uzależniona od chwili narodzin.

Od urodzenia byłam z Ogoniastym, który namawiał mnie do samobójstwa.

Dzisiaj sen przyjemnie mnie zaskoczył, zastanawiałam się, jak przeżyć do wieczora bez prochów, a tu proszę, jest wyzwanie skłaniające do trzeźwości, okrutnej trzeźwości, bo przecież wolałabym walnąć sobie kielonka i zawisnąć w uczuciach do świata.

Jak błogo jest po prochach, oczywiście do chwili, kiedy nie rozpada się wątroba. Bez wątroby żyje się siedemdziesiąt dwie godziny, tak przynajmniej uczono na studiach psychologicznych.

Teraz, na szczęście, mam zakaz wykonywania zawodu psychologa i bardzo dobrze, przynajmniej nikogo nie skrzywdzę swoimi koncepcjami na temat życia.

Książkę można przeczytać lub nie, słowo rzucone w twarz niekiedy zabija i nie pozostawia cienia szansy na odcięcie pętli.

Przestałam ostatnio pisać dziennik, a przecież dzięki niemu powstały „Pamiętnik narkomanki” i ”Schizofreniczka”. Zatarły się granice między tym, co pisane, a tym, co przeżywane.

Przez ostatnie dziesięć lat byliśmy z Tatą najlepszymi kumplami, bardzo cierpiał, kiedy odchodziłam do psychiatryka, ale zawsze był, teraz nagle...

Jeszcze nie potrafię o tym mówić czy pisać, to na razie nikomu niepotrzebne. Piszę za to tomik Jemu poświęcony. Tylko On zawsze był ze mnie dumny... Płakać mi się chce.

Nie wiem, doprawdy nie wiem, ale czuję, że muszę pisać, zanim rozwali się wątroba.

Przez te lata w moim życiu zaistniało wiele osób, ważnych osób, ale przyjaciele woleli moje książki niż mnie. Może kogoś krzywdzę, bo pani Alicja zdecydowanie wolą usłyszeć, niż przeczytać. I Bożena się o mnie modli. Nie ma już naszego Michałka. Bóg tak chciał.

Udało mi się przeżyć gruźlicę płuc, ale to nic nie oznacza, może jedynie to, że należę do wybrańców Boga. Zaczęło się od uratowania mnie z próby samobójczej, na tyle poważnej, że prawie udanej, ale nie liczyłam się z siłami współczesnej medycyny, a także Boga. Może przede wszystkim Jego. Sama wyznaczyłam sobie datę śmierci wbrew Jego zamysłom. Dostałam od psychiatry ożywcze prochy i nakaz życia, mając jedynie zapal do pisania.

Przez trzy, cztery miesiące męczyłam się na wolności, by kolejne trzy spędzić w szpitalu psychiatrycznym. I tak przez dziesięć lat. Wolność była zmorą, którą trzeba było przetrwać. Chcę umrzeć, wyznaczam kolejne kresy swego bytowania na ziemi. W końcu zrozumiałam, że nie zależy to ode mnie, więc zamiast zawisnąć, usiadłam jak zwykle do maszyny do pisania.

„Kokaina” jest w księgarniach w całej Polsce.

Dziesięć lat temu postanowiłam, że w ciągu dziesięciu lat napiszę dziesięć książek, choćbym miała pakt z diabłem. Napisałam je bardziej z boską pomocą. Nie pamiętam, co

czułam pisząc „Kokainę”, za to doskonale pamiętam, co czułam pisząc „Schizofreniczkę”.

Tej nocy, po zmniejszeniu dawki prochów, przyśniła mi się ta książka wraz z trafnym tytułem. Muszę jedynie nie dać się wciągnąć w rozmyślania o innych, skupić się na tekście, gdy inni zmuszają mnie, bym uczestniczyła w jakiś sposób w ich życiu.

Jestem gotowa na twórczą izolację, dopóki nie skończę. Inni jak zwykle pewnie tego nie rozumieją, ale to mi nie przeszkadza. Któż rozumie kobietę, w dodatku poetkę.

Zagłuszałam lęk.

Znany mi filozof ma inną koncepcję powstawania lęku, ale zapominam o tym, bo kto by się przejmował wyznaniem chorego na nienawiść psychopaty.

To lato należy tylko do mnie.

Po powrocie z psychiatryka poczułam, że jeden z psychotropów ma niesamowite działanie na tę część mego umysłu, która pozwala na samodreńczenie. W końcu się wyzwoliłam. Tak było po kokainie, ale teraz czułam, że świat należy do mnie.

Książki sprzedawały się jak dziwki i miałam kasę na swobodne przetrwanie.

Domagano się spotkań autorskich, wywiadów, były recenzje, o których nawet nie wiedziałam. Dziennikarskie hieny pozwalały sobie na zbyt wiele, na spotkaniach autorskich padały dziwne pytania, na które nie miałam ochoty odpowiadać.

W końcu z tym skończyłam. Mają książki, niech się żywią. Status poetki i pisarki zadziwiał także mnie. Na początku nie mogłam pojąć, jakim fenomenem jest sława. Leży ona w naturze ludzkiej, jako psycholog powinnam się wcześniej zorientować. Tylko rodzina mnie nie uznawała, dla nich byłam wciąż biedną Basią, którą trzeba się opiekować, ratować z tarapatów, kiedy zaćpała czy zapła. Moje pobyty w psychiatryku były dla nich kompletnie niezrozumiałe, ale nikt nie pytał o przyczynę. W naszej rodzinie istniała zmowa milczenia, tylko ja, poprzez swe książki, ujawniałam tajemnicę rodziny. Ale i o tym się nie mówiło.

Nawet moi przyjaciele nie pytali. Pytali za to czytelnicy, ale nie miałam ochoty

opowiadać. Spotkanie z drugim człowiekiem było kaźnią, mogłam jedynie rozmawiać z doktorem Markiem i panią Alicją. Pisywałam listy do różnych osób, ale nigdy ich nie wysyłałam.

Pisywałam scenariusze mego istnienia, które, ku memu zdziwieniu, się sprawdzały. Na ziemię sprowadzali mnie terapeuci.

Przecież dla innych pisywałam listy, wiersze, poematy, o których dowiadywali się zwykle z książek. Najczęściej spotykaliśmy się w dniu moich imienin. Ale i to rozwiązałam. Nie pytajcie, w jaki sposób. Jestem tylko człowiekiem. Po prochach i wódzie byłam za szybą.

Mogłam teraz zamienić szkodliwe nałogi w nałóg pisania. To zdecydowanie zdrowsze, ale zabiera przyjaciół przyjaciół sen.

Wybacz, Jerzy, ale teraz nie mogę odpisać na Twój list. Jesteś wspaniałym człowiekiem i poetą, podobnie się zapętlamy, tylko że ja czasami zdrowieję.

Psychotropa trzeba było przyjmować coraz więcej, ale zdobywałam go legalnie, przepisywali go lekarze w dobrej wierze i dzięki nim jeszcze żyję.

Nie, nie oszukiwałam. Pragnęłam pomocy, bo znowu przekraczałam granicę.

Z doktorem Markiem gadałam o Ogoniastym, psychiatrii, psychologii, filozofii i poezji. I przemówiłam do pani Alicji. Nie wiem, być może za duży ciężar na nią kładę. A poza tym jeszcze nie napisałam testamentu.

Próbowałam go napisać, nawet doktor Marek dał mi zaświadczenie, że w danym dniu jestem poczytalna, ale żaden z notariuszy, do których poszłam, nie podjął ryzyka. Po prostu nie potrafiłam go napisać.

Teraz, kiedy jestem trzeźwa, na pewno bym tego nie zrobiła.

Dlaczego? Bo chcę żyć!

Dopuszczam do siebie nieznane dotąd emocje, lecz wiem, że w moim pokoju są narkotyki, prochy i wóda. Ale to nic nie znaczy.

Jest także maszyna do pisania. Świat przepływał przez moje ramiona. Cóż, mogłam się ratować sama lub zostać ubezwłasnowolniona. Od dziecka sama decydowałam o swoim losie. Bóg się tylko przyglądał.

Dziesięć lat, dziesięć książek, sława i potępienie. Musiało starczyć na kolejny krok w życie.

Niestety, bywałam bardzo nieodpowiedzialna, ale to Ogoniasty testował moją wytrzymałość. Chyba nigdy go nie zawiodłam. Kiedyś za dużo wypłam, leżałam na torach tramwajowych i zastanawiałam się, co będzie gorsze, powrót do domu czy śmierć pod tramwajem. W końcu ktoś się ulitował i mnie podniósł...

Powroty do Mego Królestwa też bywały niebezpieczne. Czy trzeźwość jest w ogóle do wytrzymania? Na początku dobierałam po trzy prochy i stawałam się boska dla siebie i ludzi. Ale gdy ich działanie mijało, mogłam jedynie zawisnąć.

Ogoniasty czuwał.

Minęło dziesięć lat, a ja się znowu zapętliałam.

Łapie mnie dół, to normalne po wyżu, w jakim byłam kilka dni temu w Krakowie, ale trzeba przełamać myślenie ćpuna i alkoholika i napisać, że nie wszystko jest jeszcze do dupy. Nad poetami przekłętymi mam tę przewagę, że żyję.

Jak na zawodowego psychologa wiem za dużo, ale od czego są prochy i wóda. Jesień powitam w nowym wcieleniu.

Mam nadzieję, że zboczeńcy nie podniecają się „Kokainą”.

Odszedł jedyny mężczyzna, który naprawdę mnie kochał. Hm, trzeba się na trzeźwo rozejrzeć.

Ale jeszcze nie teraz. Całe życie tęskniłam w niepokoju. Bywam normalna, ale nie można mi zaufać. To bardzo niebezpieczne.

Mam niesamowitą broń w rękach - znajomość duszy drugiego człowieka. Dlatego lepiej dla świata, kiedy piszę kolejną książkę, bo wtedy staję się bezbronna.

Czasem myślę, że kiedyś coś walnie w naszą planetę i będzie po wszystkim. A moja Mama jako fizyk i astronom to potwierdza.

Bardzo chcę, by przeczytała tę książkę.

Jerzy, poeta warszawski, twórca Hybryd, przejmował mnie swoim widzeniem świata i poetycką bezsilnością, ale nie mogłam mu już pomóc. Każdy odchodzi samotnie, a on się tam powoli wybiera. Zawsze jednak mogę go przytulić w wierszu.

Nie jestem teraz w stanie spotykać się z kimkolwiek. Oprócz wtorku i czwartku. Przede mną długi weekend, więc nie zwracajcie mi głowy jakimiś głupstwami typu jedzenie czy rozmowa telefoniczna.

Żyję, umieram, zmartwychwstaję. Memu spowiednikowi by się to nie spodobało. Tyle razy Bóg mnie rzucał na kolana, a ja zawsze odchodzę od konfesjonału z niepokorną duszą.

Może kiedyś, kiedy utracę wszystko jak Sted, zastanowię się nad tym.

Ciemność przecież dopiero przede mną.

Już tam byłam, ale to historia z innej książki. Czasami wydaje się, że za dużo przeżyłam, poznałam, ale zawsze chodzi o jedno. Domyśl się, Czytelniku.

„Pamiętnik narkomanki” żył swoim życiem, wznawiany, poszerzany, budził przerażenie i zachwyty. Byli i tacy, którzy nazywali branie gównem, ale gówno było w nich samych.

Tym sposobem zostałam etatową narkomanką kraju. Chyba teraz zostanę prostytutką, ale to się nie wyklucza. Żyję po kawałku w różnych ludziach i zdaje się, że to właśnie

oznacza wieczność.

Podczas Nocy Poetów w Krakowie chyba się zakochałam. A mówiłam ci, Rosiek, byś nie opuszczała miasta.

Jestem w "Who is Who", ale miasto o tym jeszcze nie wie. Zżarłoby ich. Docenił mnie Cambridge. To sława na cały świat. Próbowano nakręcić o mnie film dokumentalny, ale się nie zgodziłam.

Teraz, gdy mam za sobą śmierci kliniczne, samozagłady w książkach, kiedy istnieję inaczej, chociaż w otchłani nałogu, mogę powiedzieć, że nie warto się zabijać, ale dla mnie śmierć była wszystkim.

Być może pójde do piekła, ale to mi wcale nie przeszkadza, lubię ciepło.

Prochy wzmacniały chory umysł, alkohol poszerzał granice zwątpienia, ale jeszcze miałam dłuższe okresy trzeźwości. To groziło samobójstwem.

Trudno. Mam ochotę się napić.

Czy znowu pragnę sama siebie przekonać do życia?

Prochy są na wyciągnięcie ręki. To nic. Chodzi o myśl.

Jestem w odmiennym stanie ducha, to pozwala tworzyć, ale stałam się całkowicie aspołeczna. Kiedy trzeźwiałam, świat zewnętrzny bywał moim wrogiem. Zamykano mnie w szpitalach i przeprowadzano testy, ale nigdy się nie poddałam.

Co takiego wydarzyło się przez ostatnie dziesięć lat, co mnie tu zatrzymało?

Ogoniasty ostatnio chlał ze mną i ćpał. Przeraziłam się, że i jego utracę. Ale nie jest źle, trochę nikczemnie, trochę niezwyczajnie. Do czwartku jeszcze dużo czasu, by stąd wyjść i wrócić, nie zaliczając po drodze knajpy.

Jak piłam w jednej dłużej, to później w drugiej witano mnie słowami, że dawno mnie tu nie było. Ale zawsze pamiętano, co piję i w jakich ilościach. Miłe.

Doskonale poznałam reakcję swego organizmu na wszelkie trucizny. Wiedziałam, co się wydarzy i jak się zachowam, by zdążyć uciec. Aż do momentu, kiedy dwa lata temu straciłam kontrolę. Musiałam od nowa eksperymentować albo wytrzeźwieć. Jedno i drugie było groźne. Mogłam wziąć dwieście tabletek psychotropów i zasnąć, ale też mogłam wziąć zdecydowanie mniej innego leku i nie przeżyć. To mnie w końcu zastanowiło. Jestem chora, uzależniona od wody, psychotropów, samobójstw i innych rzeczy, których jeszcze w sobie nie odkryłam. A jednak twierdzę, że trzeźwość też może być potęgą. Co to oznacza? Jeszcze nie wiem.

Za kilka dni skończę czterdzieści trzy lata.

Często przez mój mózg przebiega złowroga myśl, by tak zwyczajnie, po prostu odejść, nie kończąc tej książki, ale chyba wtedy straszylabym z zaświatów. Kiedyś obiecałam doktorowi Markowi, że będę straszyć.

której, przecież przez siedemnaście lat wszystko się może zmienić. Zmusza to jednak do życia, bo ja staram się dotrzymywać słowa.

Kolego Sidor, nie klękaj przede mną przy pomniku Mickiewicza w Krakowie, mówiąc, że jestem wielka. Jeszcze żyję, a na cokół mamy czas. Razem z Ogoniastym.

Dziesiąta strona maszynopisu dzisiaj. Niedługo odpocznę... Jak zniszczyć ciało Rosiek? Teraz kiedy jest takie kobiece, łaknące pożądania i przytulenia. A jednak wzbraniam się przed tym. Boję się, że bez wody i prochów poznam smak innej miłości, która na razie mnie przerasta. Kiedy piszę, udaje mi się połączyć rozum z sercem i jest to mieszanka wybuchowa. Mówicie, że igram z ogniem, to nie ogień, to bomba wodorowa.

Dlaczego, Boże, dopuściłeś do tego, bym łączyła w sobie sprzeczności. Jak powstrzymać umysł przed następnym truciem się?

Alkoholikami były przecież dwie najważniejsze dla mnie osoby, więc może to jakiś mechanizm obronny lub lęk przed całkowitym upadkiem.

- Wybawieniem będzie śmierć - powiedziałam kiedyś Markowi Kotańskiemu. Nie

uwierzył, ale ja wiem swoje. Już to przerabiałam. Żyję w nierealnych światach, tylko prochy i woda są realne. Czy żałuję? Może na to pytanie odpowiem za siedemnaście lat.

Już nie wierzę, że po napisaniu kolejnej książki pojmę to wszystko, bo co tu pojąć, kiedy sam wszechświat jest niepoznawalny. To, do czego już doszłam, to i tak za wiele. Aby nie myśleć, prochowałam się przez te lata, to trzymało obłąd w ryzach, ale nie do końca. Ostatecznie wypuszczano mnie z psychiatryka. Najbardziej się bałam, że zabiję drugiego człowieka, tak po prostu fizycznie uderzę. To niebezpieczne myślenie, więc zakończę ten temat. Dałam się oszukać złodziejowi i jeszcze go za to przeprosiłam. Nie lubię być oszukiwana, ale inni oszukiwali mnie dla tak zwanego mojego dobra. To chyba jedyna rzecz, której nienawidzę. Przestałam ufać najbliższym, a inni mnie nie obchodzili.

Zależy mi na innych ludziach, tylko nie potrafię niekiedy ocenić, kto przyjacielem, a kto wrogiem. Poza tym mam silne zaburzenia pamięci i nie pojmuję, dlaczego nagle inni przestają się do mnie odzywać. Sama dla siebie jestem zagadką, nawet nie jestem pewna tego, czy tej nocy po prostu się nie powieszę.

Ile zbrodni popełniłam w zamysłach szatana? Hm, Ogoniasty się śmieje, a mógłby czasami na mnie krzyknąć jak doktor Marek, gdy miał mnie za dużo w swoich emocjach po kolejnym truciu się czy wieszaniu. Ale to inna historia.

Tak naprawdę Na sześćdziesiąte urodziny umówiłam się z przyjaciółmi w knajpie na wódkę. Nie wiem jeszcze w dokopywałam najbardziej sobie. Autodestrukcja była od dziecka wpisana w mój życiorys. Alkohol, prochy, samobójstwa. Jednak wolałam żyć, inaczej bym nie podejmowała walki.

Jedna z moich pacjentek zarzuciła mi pychę. Nie odezwałam się do niej, kiedy próbowała to załagodzić. Po prostu mój czas w jej życiu się skończył. Wtedy też zrozumiałam, że nie mogę dłużej być psychologiem i przyspieszyło to decyzję o wyjściu z piekła. Piekła innych. Moje piekło zupełnie wystarczało.

Ostatnio przegoniłam Marzenkę, nie byłam w stanie dłużej unosić ciężaru jej obłądu, zwłaszcza że pojawiała się tu co drugi dzień. Musiałam ją zostawić, inaczej zrobiłabym jej krzywdę.

Lubię lato, włóczenia się od knajpy do knajpy i powroty do domu z głową w coraz to innym obłędzie, co już przestała dostrzegać Mama, żyjąca w swoim świecie po śmierci Taty. A miałam Im wyprawić pięćdziesiątą rocznicę ślubu. Zabrakło dwóch lat. Tak jak mnie zawsze brakowało chwili, by zaistnieć inaczej.

Jedenaście lat temu naprochowano mnie i wysłano do domu. Wtedy była jeszcze przy mnie Mirka i spędziłyśmy razem wakacje. A potem zostałam z prochami, Ogoniastym, wodą i Moim Królestwem.

Oprócz Mirki nikt jeszcze wtedy nie wiedział. Ludzie byli na mnie obrażeni, więc zabrałam się do pisania, które zawsze pozwalało mi przetrwać. Omijałam niebezpieczne sytuacje do czasu, gdy pojawiał się kolejny atak psychozy. Wtedy wracałam do szpitala. A pomiędzy szpitalami wirowałam, skamlałam, chlałam, grałam twórcę przed tymi, którzy chcieli poznać mnie od podszewki. Ale nie byłam zużyтым futrem. Byłam Barbarą Rosiek, która pisała trochę inaczej niż inni. Niektórym to się bardzo podobało, inni mnie potępiali. Rodzina milczała.

Młodzież była trochę zaskoczona moim widzeniem świata, ale przecież pisałam o ich tajnym ja, o walce z autorytetami i słabościami. Nawet Mama w końcu przyznała, że raz w życiu myślała o samobójstwie.

Nastolatek jest biedny w naszym systemie kultury. Ma milczeć i wybaczać. Później wchodzi w dorosłość albo spokojnie przewartościowując swój świat, albo bijąc głową w mur, by przetrzymać samego siebie. I nadchodzi wiek dojrzały, w którym najbardziej zdeklarowani hipisi się odnajdywali. Nie licząc twórców, alkoholików i samobójców.

Jestem wiecznym dzieckiem. Nie można mnie zmusić do wejścia w świat ludzi dojrzałych, a przecież rozwijam się w pisaniu i rzadkich kontaktach z ludźmi. Zdecydowanie wolę piekło, ale nie mogę brać odpowiedzialności za innych, każdy sam musi umrzeć.

Niedługo będę mogła wziąć prochy na noc, ale nie gwarantuję, że będę śniła. W snach obnażam się do własnego nieprawdopodobieństwa.

Po prochach i wódce odchodzi się wcześniej niż po samym alkoholu. Ale nie załatwia on pewnych problemów. Prochy niszczą skuteczniej.

Boję się, że mogę dojrzeć. Boże, chroń mnie.

Chroń mnie przed filozofami. I teoriami osobowości. To tak, jakby jakiś geniusz kłamał, że poznał tajemnicę istnienia. Trzeba żyć w zgodzie z naturą i nie być ludzkim zwierzęciem.

Mam brata i bratową, ale nie będę o nich pisać, bo musiałabym zacząć oskarżać. Nie mnie sądzić innych. Wystarczy potępienie siebie.

Nie trzeźwiałam. Prochy brałam trzy razy dziennie, mniej piłam i stawało się Królestwo Moje. Nie chciałam, by inni w jakiś sposób ingerowali w moje życie, ale po prochach obojętniałam na uczucia innych. Teraz wiem, że to było zabójcze, ale czasu nie można cofnąć. Niekiedy, w przyływach rozpacz, pragnęłam powrotu.

Stawałam się coraz sławniejsza. Jeździłam na spotkania autorskie po całej Polsce, poznawałam przeróżnych ludzi, ale wracałam nieustannie samotnym pociągiem. Pewnego dnia wystraszyłam się, kiedy uświadomiłam sobie, że ludzie mnie nie rozumieją. To jeszcze nic. Mój organizm buntował się przeciw truciznie we krwi, musiał się oczyszczać, a okresy trzeźwości miewałam coraz krótsze.

Gdy ukazywała się kolejna książka, potrafiłam się nią cieszyć kilka chwil. Potem następowało zwątpienie, które trzeba było zapisać, zapochować. Za dużo ode mnie wymagano. A ile wymagałam od siebie? Nie mogłam nawet być półbogiem jak Herkules, bo to nie ta bajka. Przykro mi, że się powoli uśmiercam. Nie wiem, czy jestem w stanie wyzdrowieć, dojrzeć, pokochać, inaczej postrzegać rzeczywistość, wspaniałomyślność Boga.

Ogoniasty wszędzie ze mną był i wracałam w głąb siebie. Nie ma lekarstwa na chorą duszę. W końcu to rozumiałam.

Przepraszam tych, co mnie kochają, ale jeszcze nie potrafię... Na ile starczy sił?

Jerzy, jeszcze się tam nie wybieraj. Może znowu wyślę do Ciebie list...

Kilka dni temu przeczytałam „Kokainę”. Przestraszyłam się. Teraz już tak nie szokuje,

zwłaszcza po „Schizofrenicze”, ale nadal są osoby, które padają przy „Narkomance”. Kwestia stylu życia. Nie potrafiłam już egzystować bez prochów, zapijanie ich wodą odkryłam nieco później, chociaż wiedziałam od moich pacjentów alkoholików, że tak to wygląda na pewnym etapie nałogu. Są alkoholicy, którzy się staczają do końca, i ci, którzy popełniają samobójstwo. Pogodziłam w sobie ćpuna i alkoholika.

Przerabiałam już to wszystko, łącznie z opiatami, ale teraz topiłam się inaczej, bo w całkowitej samotności, idealnie zachowując pozory normalnego życia, w dodatku wypełnionego twórczością. Tylko nieliczni wyczytywali z mojej twarzy chorobę.

Byli także ludzie, którzy się mnie bali, gdy byłam po prochach. Ale ich nauczyłam się omijać.

Pisywało do mnie wiele małych próbujących pokonać własne problemy, nawet raz przyszła do domu piętnastolatka, bym jej dała narkotyki. Miałam ochotę kopnąć ją w dupę, ale spokojnie wytłumaczyłam. Teraz, w całkowitej izolacji, problemy innych zniknęły, choć nie do końca. Co jakiś czas następowała lawina telefonów, także anonimowych, ale nie przejmowałam się tym.

Zdradzała mnie bełkotliwa mowa, która rozdzierała Matkę, ale krzyki, prośby czy zamykanie w szpitalu niewiele dawały. Jeszcze walczyłam, ale nie mogłam odejść od butelki, aż nie pokazało się dno. Jednak ciągle potrafiłam się od niego odbić.

Rury w łazience czekają. Jeszcze nigdy nie powiesiłam się w domu. Kiedyś zapomniałam, że ma przyjść pacjent i sobie dołożyłam. Chciał wzywać pogotowie. Nie mogłam więcej do tego dopuścić. Skończyłam z psychoterapią innych.

Na szczęście ludzie powoli o mnie zapominali, bo oprócz książek nie było mnie nigdzie.

Znowu dzisiaj śniła mi się odwykówka, na której przebywałam wbrew sobie. Nie mogą mnie już zamknąć gdziekolwiek.

Oczywiście to największe oszustwo, jakie popełniam wobec samej siebie, że potrafię kontrolować nałóg.

Umiałam się dogadać jedynie z tymi, którzy akceptowali mnie całkowicie. Niewielu ich było, ale zawsze znalazła się dobra dusza, która choć na jakiś czas wytrzymała mój

obłąd. Potem odchodziła jak inni.

Byłam i jestem nie do wytrzymania. Nawet Mama dostała zawału serca. A Tata po prostu umarł. Była jeszcze Danuśka, siostra Mamy, która kochała mnie bez względu na to, co uczyniłam. Sądzę, że gdy one odejdą, i ja się pożegnaję z Moim Królestwem.

I Danuśka kiedyś wyznała, że po prostu odejdzie, zapijając prochy wodą, ale sądzą, że o tym zapomniała.

Nigdzie mi się nie spieszy.

Zmieniano mi leki, ich konfiguracje, na które uodporniał się mój organizm. By przetrwać, dochodziłam do niewyobrażalnych dawek. Gdy po alkoholu uspokajała się dusza i pojawiały się łzy, czułam, że mogę zdążyć kogoś pokochać, zanim rozpadnie się wątroba.

Ale przecież tego nie chciałam.

Jest jeszcze moja staruszka kotka - Koziółek - cała czarna. Danuśka się jej boi, nazywa ją Diabeł. Koziółek choruje na depresję.

Czasami o świcie budzi mnie jej płacz. Nie pozwala się przytulić, może wie to, co i ja, że jedno przytulenie może być niebezpieczne dla chorego umysłu. Kocham Koziółka, i to chyba jedyne prawdziwe uczucie we mnie.

Kochałam mego męża, który umarł w dniu naszego ślubu. Ze szczęścia przedawkował, wiedziałam, że niedługo umrze, ale chciałam z Nim pobyc, nim skończy, ale Bóg ponownie mnie zaskoczył. Na schodach kościoła. Chyba go pochowałam.

Wiele lat później napisałam tomik poetycki „Wdowa”, ale to był już inny czas. „Wdowa” bardzo się podoba moim fanom. Mnie też zaskakuje.

Kiedyś policjant powiedział do mnie, że jak tak wcześniej wszystko przeżyję, to później życie nie będzie ciekawe.

Ale Bóg widzi to inaczej. Może na łożu śmierci powiem przepraszam, ale i tego nie jestem pewna.

Gdybym mogła... No właśnie, co?

Życie fantazjami bywa niekiedy takie realne. Jako psycholog potrafię przewidzieć postępowanie innych, wciągnąć w grę.

Gram zazwyczaj o życie.

Kiedyś trenowałam karate. Teraz nie wychodzę po zmierzchu z domu, chyba że do mojego stomatologa. Mogłabym za mocno uderzyć ewentualnego napastnika, a kiedy wypiję, cios uderza ze zwielokrotnioną siłą. Z knajpy na placu Daszyńskiego z reguły wychodzę w miarę trzeźwa. Można mnie tam czasami spotkać, oprócz czwartków. Tylko ja piję tam jedyny w swoim rodzaju drink z rumem. Lekarz, który mnie leczy na gruźlicę, stwierdził, że jestem w średnim wieku. Trzeba się z tym powoli oswoić.

Od pięciu lat nie palę papierosów. Ciekawe, czy Mirka jeszcze pali.

Mój dentysta, doktor Michał, z największym spokojem ratował moje uzębienie, które w jakimś calu zachowałam do dzisiaj. To prawdziwy romantyk, nie poddaje się, wierzy, że trzeba walczyć do końca. Gdybym ja miała takie zdanie o życiu, pewnie nie zawisłabym w różnych miejscach w chwilach rozpacz. Nigdy nie utraciłam ducha wojownika, chociaż w snach walczyłam w Dojo. I zawsze wygrywałam.

Kontroluję prochy, bo niestety wiem, że po ich połączeniu z alkoholem mogłabym się nie obudzić.

Ostatnio czytam mniej książek, nie potrafię się już skupić na słowie pisanym, a i książki innych przeszkadzają w widzeniu własnego świata. Oczywiście czytuję nadal poetów przeklętych i filozofów, ale wolę własne wnętrza. Nie jestem samowystarczalna, nikt nie jest, ale teraz, kiedy to inni się na mnie wzorują, bywa niebezpiecznie. Nie wolno im iść za mną w topiel.

Pomiędzy pobytami w szpitalu opiekowałam się Rodzicami, chodziłam do T.Z. po leki, ale i na rozmowy o mnie czy filozofii. T.Z. lubił moje pisanie, a nasze pogaduszki schodziły czasami na dziwne ścieżki. Miał jakąś koncepcję mojej postaci, ale przecież nie wiedział, co naprawdę ukrywam. Lubiałam go szantażować. Domagałam się leku, grożąc, że

nie wyjdę z gabinetu. Wypisywał zawsze. Był przyjacielem.

T.Z. znał mnie od dawna, był moim lekarzem rodzinnym, jak to się teraz ładnie nazywa. Zwykle pakowałam się do gabinetu bez kolejki i siedziałam u niego dłuższy czas, aż oboje stwierdzaliśmy, że zlinčuje mnie kolejka. Nieraz tak głośno się śmialiśmy, że nawet nie wiem, co inni w poczekalni o tym myśleli. Zawsze wiedział, kiedy jestem po wódzie czy prochach, a ja mu rzucałam prosto w twarz wyznanie. Ale jeszcze nie chciał wypisać karty zgonu.

T.Z. wytrzymał ze mną wszystko - szantaż, psychozę, picie, lęki, obsesje i moje wiersze. Czasami prosił, bym piła szlachetniejsze trunki, bo zwykła woda szybciej wykańcza. Wtedy przerzuciłam się na spirytus. Robiłam sobie drinki. Słabsze alkohole na mnie nie działały. Doktor Marek prosił, bym nie piła do lustra, ale przecież nie byłam sama. Ogoniasty zawsze był po drugiej stronie. T.Z. powtarzał, że przy tych prochach, które biorę, nie mogę chlać, ale to mnie nie przekonywało. Brałam też leki nasercowe, które obniżały ciśnienie, i czasami chodziłam po świecie na granicy zapaści krążeniowo - oddechowej.

T.Z. był wciągany w gry. Ufałam mu i zwierzałam się. Zależało mu, bym żyła, byśmy się spotykali i gadali o medycynie i poezji. Jego gabinet jest wyspą, na której się nie oszukuje.

Jestem bardzo zmęczona. Od choroby Taty nie miałam wypoczynku, Mama namawia mnie na wyjazd na wakacje, ale nigdzie nie pojedę. Byłam już we wszystkich miejscach, które chciałam zobaczyć. Teraz pozostało miasto.

Kocham mojego brata, ale od dziesięciu lat nie możemy się porozumieć. Gdybym mogła choć na godzinę wyjąć mózg z czaszki i nie słyszeć siebie w myślach... Odpoczywam w kolejnych śmierciach klinicznych. Miasto jeszcze mnie ratuje, gdy wzywam pogotowie ratunkowe, zawsze przyjeżdża karetka reanimacyjna na sygnale.

Kocham moich powierników. Jestem z nimi szczerą aż do jakiegoś koszmarnego bólu. I wierzę, że mnie nie zostawią.

Gdybym miała takiego pacjenta jak ja, moglibyśmy od razu skoczyć z dziesiątego piętra.

Zawsze wracałam do domu, nawet spod autobusu, który mnie przejechał. Czasami wydaje się, że te wszystkie książki, moje dzieci z potępionego łona, mogłyby nie powstać i niczego to by nie zmieniło. Może w innej czasoprzestrzeni, ale nie wierzę w reinkarnację. Wierzę za to w powielanie życiorysów.

Są ludzie wyjątkowi. Ale nagle okazuje się, że pojawia się w ich życiu ktoś zupełnie inny, jeszcze bardziej wyjątkowy. Przecież nie można wymienić Małego Księcia. Ale zawsze można wziąć niebiański narkotyk i polecieć do niego, kiedy wróci na swoją planetę. Lekarze mnie ratowali, odwiedzała mnie Danuśka, po kolejnym szaleństwie łudzono się, że był to ostatni raz.

Starzeję się, czuję to bardzo wyraźnie. Ogoniastego nie wpuszczą nawet do czyścica. To nic, przerabiamy go tutaj.

Przeważnie pod koniec pisania kolejnej książki chcę skończyć z sobą, ale jakaś wszechpotężna siła powstrzymuje przed ciosem w siebie i później mogę zapić, zaćpać, pochlastać się, wbić nóż w trzewia, wyzdrowieć i iść donikąd. Byłam dzisiaj na mszy w kościele, kazanie było o wierności Bogu, Ogoniasty jak zwykle usiłował zawładnąć myślą.

Kiedyś zawierzyłam Bogu do końca i udało się. Więc dlaczego teraz nie chcę spróbować?

Nie mogłam stale być dyspozycyjna, nawet w pisaniu. Ale to jest silniejsze.

Wiesz, Jerzy, nie chcę, by takie głupstwa, o których piszesz w ostatnim liście, ponownie nas rozłączyły. Pieniądze. Nie jestem dobra w interesach, a forszę od razu przepuszczam. Wybacz, Jerzy, na razie zamilknę.

Dwudziesty pierwszy wiek okazuje się dobrym czasem na szaleństwo. Zdarza się, że oglądam TV. Jak człowiek perfekcyjnie niszczy człowieka. Słabnę w takie upały. Byłam na komentarzu u Taty i prosiłam Go o protekcję u Boga.

Od trzech dni nie chleję. Ale prochy, prochy płyną zatrutą krwią na maszynopis.

Nie potrafię, już nie potrafię unieść sobie trzeźwej, więc po co śnię o odwyku. To coś

symbolicznego. Podjęłam decyzję. Podświadomość jak zwykle przyniosła rozwiązanie. Teraz jestem trzeźwa. Czekam na noc, kiedy będę mogła odpocząć. Nie wiem, co to normalne życie. Po prostu nie wiem. Jak straszny opór stawiałam kiedyś psychiatrom, by nie wypłynąć rzeką ze snów, rojeń i marzeń. Kiedy mocniej się naprochowałam, chodziłam po mieście bełkocząca, bez pamięci zdarzeń. Na noc przeważnie wracałam. Tylko mówić nie mogłam. Dlaczego? To dobre pytanie.

Znam odpowiedzi na wiele pytań, znam różne prawdy, przekłamania, wyznania, sny, losy człowiecze, drogi potępionych i ścieżki Boga. Wyczuwam nieszczęście, chorobę, śmierć. Tylko swego losu nie jestem w stanie przeniknąć. Czasem zdaje mi się, że już wiem, znalazłam spokój, pochyliłam się nad niepoznawalnym i właśnie wtedy czuję, że trzeba się powiesić. Czasami idę za daleko. Granica jest ściśle określona przez Boga i rozhuśtana przez szatana. Stąпам po obu ścieżkach. Takie schizofreniczne rozszczepienie. Serce pragnie, a mózg hamuje rozwój uczucia. Jak to zespolić? Chowałam flaszki w przeróżnych miejscach, by Mama ich nie znalazła, ale w przypiływie obłądu wszystko się wydawało. No i co z tego?

Jeszcze walczyłam z prochami, byłam zła, że muszę je brać, lecz gdy przerywałam, powracały halucynacje, głosy namawiające do samobójstwa, do totalnej zagłady. Wolałam usnąć, niż przeżywać koszmary.

Żyłam chwilą, bez poznawania konsekwencji swoich czynów. Jedni się na mnie wściekali, inni widzieli miecz sprawiedliwości.

Gadałam różne rzeczy na spotkaniach autorskich aż do momentu, gdy dostałam brawa na stojąco z okrzykiem „Kochamy cię”. Miałam dosyć.

Już żadna siła nie zaciągnie mnie na spotkanie z czytelnikami.

W końcu „Pamiętnik narkomanki” stał się lekturą obowiązkową w szkole. Ale teatr narkomanii już się trochę zmienił. Nie chodzi o szczegóły, podstawy zniewolenia będą takie same do końca ludzkości.

Zaczęły się podróże. Postanowiłam zwiedzić Europę Zachodnią.

To też było jakieś wyjście, chociaż na krótko.

Prochy zabierałam z sobą, alkohol podawano w hotelach.

Ogoniasty miał wszystko za darmo.

Świadomość, że miałam wrócić do kraju, zawsze mnie trzymała w ryzach. Tylko raz było inaczej, ale o tym później. Na samo wspomnienie przechodzą mnie ciarki po całym ciele i mam ochotę to zapisać.

Zaczęłam się spotykać z poetami z miasta. Ale szybko zrozumiałam, że odchodzę najtrzeźwiejsza od stolika. Poza tym w mieście mnie nie uznawano, budziłam sprzeciw w ich pijackich sercach, w zamysłach samców, w słowach na małą skalę.

W końcu pojęłam, że trzeba z tym skończyć i kupić własną flaszkę.

Już wtedy pojawiały się pierwsze oznaki izolacji, częściej odmawiałam dziennikarzom, nie chciałam gadać z ludźmi. Nie miałam takiej potrzeby.

Po jedenastu latach zrozumiałam, że trzeba się ponownie ratować, tak zupełnie na serio, bo mogłoby się zdarzyć nieszczęście...

Wymodliłam panią Alicję. Już jest bezpieczniej.

Mam wybór, zawsze jest wybór, nawet w więzieniu. Ale dusza nie mogła iść do piekła. Nie jestem pewna, gdy to piszę, pojawiają się kolejne wątpliwości co do mojej egzystencji tutaj, ale wiem, że raz w tygodniu przez godzinę mogę zapłakać...

Czasami zaskakiwały recenzje moich książek, doprawdy nie widziałam tego, co krytycy sądzą o mojej twórczości. Niech im będzie.

Co poeta miał na myśli... Sama czasami nie wiem, czytając swój wiersz.

Od trzech dni piszę ten tekst, trzecią dobę śnię odwyk. Może pisanie jest moim lekarstwem?

Jeszcze wyruszałam z Mego Królestwa, bywałam na wakacjach z Mirką, ale nie potrafiłyśmy się dogadywać. Mirka w końcu założyła rodzinę, urodziła dzieci i dzięki Bogu przerwała pasmo nieszczęść, tylko może czasami bywała za agresywna, a ja bardzo się boję

agresji u najbliższych. Poza tym Mirka nie przeczuwała tych zmian we mnie, które następowały, zgodnie zresztą z prawami medycyny, ale tego jej nie komunikowałam i w końcu przestałyśmy się rozumieć. Mirka jest po trochu moim biografem, ma te wiersze i teksty, które ja dawno wyrzuciłam do spalenia. Co jakiś czas robię porządek w papierach i tym sposobem pozbyłam się nawet gwarancji na komputer i umowy na telefon komórkowy.

Nie wiem, jak teraz wyobraża sobie mnie Mirka, ale na pewno dalekie to jest od oryginału. Mirka nie wie, że się topię, nie mam zamiaru jej tym obarczać, niech żyje szczęśliwie w rodzinie.

Inni też nie wiedzieli do końca. Czy całe życie można ukrywać nałóg?

Podziwiam i szanuję Mirkę, tylko niech już nie pisze bolesnych listów.

Jestem odcięta od świata. Pragnę mieć przyjaciela... Znowu o tym piszę jak w "Kokainie". Jeżeli mnie samą katuje moja dusza, niech inni już zamilkną. Niech cały świat zamilknie. Cisza jest jedynym ratunkiem.

Zaistniałam w wielu osobach, lecz odchodziłam, kiedy pojęłam, że dalej mogę tylko niszczyć.

Na terapii byłam prawdziwa. Muzyka.

Stale mam włączoną wieżę.

Po pogrzebach Michałka i Taty zaczęłam chodzić na pogrzeby innych.

Byłam jak mumia, dokładnie naprochowana, manekin psychiatryczny. Czy już jestem zgubiona? W każdej książce uśmiercam się i powracam do realnego świata, który nie jest moim światem. Chodzę po mieście, zaliczając knajpy, przedłużając powrót do domu...

Bożena po tragedii stała się świętą. Nie da się każdego przekonać do własnej śmierci. Żyjemy z Bożeną modlitwą i wspomnieniami. Ale jeszcze nie da się wspominać, zrozumiałam to po śmierci Tary.

Fundowałam innym niesamowite przeżywanie tego świata, gdy mój świat był zupełnie gdzie indziej.

Dwa lata temu przerwałam grę. Stałam się człowiekiem, zaczęłam dojrzewać, być do granic wytrzymałości szczerą. Dlatego milczę w towarzystwie innych ludzi. Z Koziółkiem nie da się pogadać, poluje na myszy i ptaki. Zdążyłam przeprosić Urszulę, ale wtedy nie potrafiłam dla niej inaczej zaistnieć. Topiel pochłonęła widzenie świata rzeczywistego. Urszula mi wybaczyła. Może jednak mam przyjaciela. T.Z. nadał nie chciał wypisać aktu zgonu.

Robienie za gwiazdę i idola małych latów bardzo męczyło, dlatego w końcu przestałam wychodzić z pokoju. A gdy i tutaj było źle, chowałam się w szpitalu.

Alkohol, prochy i ja. Czasami zgłaszała się jakaś matka z prośbą, by ratować jej dziecko z narkomanii. Czasami próbowałam, ale powracająca fala była zbyt trudna do przeżycia. W nałóg wpisana jest całkowita samotność.

Czasami zastanawiałam się, czy się nie ujawnić, ale status psychotyka był dla mnie bezpieczniejszy. Wolałam rzygać w samotności. Jako psycholog przerobiłam na sobie całą psychiatrię, psychologię kliniczną i neurologię. Ostatnio zajęłam się kardiologią. Nikt nie mógł mnie przebić, każde kalectwo psychiczne przerabiałam na sobie.

Już na studiach koledzy pytali, skąd wiem o różnych patologiach aż tak wiele. Najczęściej odpowiadałam, że z książek.

Ponad rok temu, gdy miałam jechać do Elbląga na setne przedstawienie „Narkomanki”, dostałam zawału serca.

Dziesięć lat żyłam w topieli. Teraz, kiedy zrozumiałam, że być może sięgam kresu, zaczęłam się ratować. W końcu. Mój organizm się starzał i powrót z zaświatów stawał się coraz trudniejszy.

A jednak Ogoniasty podsuwa myśli o odejściu.

Przestałam się bać, przeszły myśli o mordzie Filozofa, przestałam być ofiarą.

Rozumiałam moich pacjentów jak nikt inny, ale to do niczego nie prowadziło. Kiedyś Basia z gór odwiedziła mnie w mieście. Od razu wiedziałam, że przyszła pogadać przed zaplanowanym samobójstwem. Zrobiłam jej pranie mózgu i na drugi dzień przyznała, że już miała upatrzone miejsce w górach, z którego chciała skoczyć.

Uratowałam jej życie, a ona rzygnęła w liście agresją na rodzica. Obiecałam sobie wtedy, że nie będę już odcinać pętli. Niech inni sami odpowiadają za swoje szaleństwo. Przestałam ratować samobójców.

Basia próbowała się później skontaktować ze mną w jakiś sposób, ale jej gra mnie drażniła. Nie wytrzymałam naporu jej myśli.

Biedna jest teraz moja Mama. Pełny regres po śmierci Taty. Nie bardzo umiem Jej pomóc, Jej łzy mnie osaczają.

Może nie powinnam pisać, tylko zająć się ogródkiem? Każdy i tak powieła błędy, w sposób mniej lub bardziej dramatyczny. Nie jestem przewodnikiem po ściernisku dusz, od tego jest Biblia. Zapominałam o Bogu. A jednak udało się Mamie przekonać mnie do sakramentu bierzmowania i jestem Jej wdzięczna. Chociaż to teraz trudniejsze. Ogoniasty miesza w niedzielnej modlitwie, a ja nie zawierzam Bogu. Może dlatego, że nie potrafię wyrzec się piekła. Co poza nim mogłabym czynić? Byłam w nim od urodzenia, a nawet od poczęcia. Niekiedy przebaczałam. Ale częściej wołałam odejść. Boli, bardzo boli.

To było takie proste, wziąć lek, zagłuszyć jęk potworności duszy, zapić krew, zapłacić się w niepoznawalne. Ale ryzyko było zawsze nie do przewidzenia. Plan działania mógł zawieść, a kto mógłby wtedy odciąć mój ą pętlę?

Pewien tak zwany poeta kiedyś w pijanym widzie stwierdził w mieście, że mnie zniszczy. Gdy dowiedziałam się, że ganiał innego poetę z siekierą, zrozumiałam. Żadna słowna siekiera nie mogła już mnie dopaść.

Czasami jeszcze występowałam publicznie, nawet w swoim mieście. Zaczęto wystawiać „Narkomankę” w różnych miastach w Polsce, także tutaj. Obcowanie z dyrektorem teatru, Henrykiem Talarem, było interesujące. „Narkomanka” doczekała się setnego przedstawienia, ja zaliczałam kolejne pobyty w szpitalu. Ale bywałam na spektaklach

i obserwowałam reakcje widzów. Talar umieścił przedstawienie w piwnicy, sceneria niesamowita. Dobrze, że nie mam klaustrofobii. Doktor Marek nie obejrzał spektaklu premierowego, bo w drodze popsuł się samochód, poza tym nie uważałam tego za konieczne.

Pani reżyser podrywała mnie, a czasami też z nią chlalam. Pisywano przeróżne recenzje, których nie czytałam, ale lubiłam bywać w teatrze za kulisami. Sezon na „Narkomanę” trwał i trwał, aż mi było niedobrze. A moje wiersze? Najpierw spektakl wystawił Olsztyn, później Bielsko - Biała, już pod dyrekcją Henryka Talara, następnie Elbląg i Zielona Góra. Niedawno wyczytałam w internecie, że był pokaz w Wiedniu, szkoda, że mnie nie zabrano. Wiedeń bardzo się podoba mojej duszy. Nigdy nie wiem, co się dzieje z moimi książkami, ale tak chcę. Raz w roku w przyływie świadomości pisałam list piniaczy do ZAIKS - u. W końcu przestali odpowiadać na moje zarzuty. Ale to nie ma większego znaczenia.

Spektakle zachwycały, przejmowały, zwłaszcza młodzież. Kiedyś w Bielsku byli na sali narkomani z pobliskiej odwykówki. Nie dotrwali do końca sztuki. Jeżeli „Narkomanka” tak działa, co będzie z „Kokainą”? Sądzę, że stopniowo dawkuje ludziom własną tragedię. „Schizofreniczka” za to gdzieś się rozmywała, widocznie i ona czeka na swój czas. Sarah Kane popełniła samobójstwo po piątej książce. Ale ja wyprzedzałam ją myślą o całe dziesięć lat. Ją zauważono dopiero po śmierci. Nie będę z tego robiła analogii do swego życia. Truciznę trzeba dawkować umiejętnie, inaczej ginie od razu cały organizm. Nie wiem, czego jeszcze można się po mnie spodziewać, ale na szczęście są ludzie, którzy mi ufają i wierzą we mnie. „Kokainy” Mama nie może przeczytać, chociaż już się trochę oswoiła z takim tytułem i faktem jej druku.

Zdarzało się i tak, że nie wpuszczano mnie do knajpy. Dlatego chodziłam do takich, gdzie podawano alkohol bez cienia wątpliwości. Zaprzyjaźniałam się z barmanami i szefami lokalu. Plac Daszyńskiego ma wiele do zaoferowania w różnych porach dnia. Na placu był autobus, który zawsze odwoził mnie pod dom. Pisanie to jak dni wycięte z życiorysu.

Stan ekstazy twórczej bywa nie do wytrzymania. Ale za kilka godzin będę mogła wziąć procha i usnąć.

Chcę zostać sama podczas aktu tworzenia, ale inni nie potrafią tego zrozumieć. W ten sposób dogadałam się z Januszem Yaniną Iwańskim. Podobnie postrzega świat. Śpiewał na „Narkomance” w Bielsku. Jego teksty wyrażają to, czego jeszcze nie poznałam.

Życie poza szpitalem zmuszało do mówienia. Ale później sobie halucynowałam tak jak dzisiaj w nocy. Gorzej jest z urojeniami, ale nimi obarczam doktora Marka. Jest zawsze gotowy na wysłuchanie Boga lub szatana.

Zawsze to było jakieś wyjście przed samobójstwem. Nawet doktor Marek woli, bym chlała, niż się wieszała.

Dobrze, że ich mam, tych, którzy ze mną jeszcze wytrzymują. Na przykład Mamę, ale Ona żyje w kompletnej nieświadomości. Nie musi wiedzieć, chyba że jakiś życzliwy Jej doniesie. Ale jestem pewna, że nie wysłuchałaby tego. Teraz Mama jest pod moją szczególną opieką.

Życie na haju jest możliwe do pewnego etapu, po opiatkach się po prostu umiera. Tutaj miewa się inne odloty, w których się topisz wraz z innymi. Chyba że pijesz do lustra jak ja.

Może chociaż umrę na trzeźwo. Proszę włożyć do trumny prochy i flaszkę. Inaczej naprawdę będę straszyć. Mam już przygotowany grobowiec.

Znając siebie, pewnie zrobię jakiś kawał i zniknę bez śladu, tak po prostu wyparuję. Może coś mnie zeżre.

Co roku piętnastego sierpnia, jeżeli nie byłam w szpitalu, szłam na pole namiotowe pod Jasną Górę i wypalałam fajkę z haszem z hipisami. Ksiądz Szpak starzał się i brakowało mu werwy, ale przecież minęło dwadzieścia lat, ponad dwadzieścia lat. Ale i tak go podziwiam. Czy jego modlitwy o ratowanie ćpuna bywały wysłuchane?

Na polu namiotowym zawsze wracały wspomnienia, zwłaszcza że bywała na nich Sylvia. Sylvia była człowiekiem, który mnie kochał przyjaźnie, bez żadnych ograniczeń czy wymagań. Dlatego Sylvia przetrwała do dzisiaj w moim sercu. Poznałam ją listownie, bo kiedyś jeszcze zdarzało mi się odpisywać na listy. Mogłabym przegapić Sylvię, ale doktor Marek na wieść o takim liście prosił, bym odpisała.

Moja przyjaciółka prowadzi zajęcia z psychologii klinicznej na naszej wyższej

uczelnii. Dorota i jej mąż Arek przeżyli ze mną różne dziwne chwile, tak po prostu nie godząc się na moje odejście z tego świata. I studenci wypytywali doktor Dorotę o mnie, czy się puszczałam, czy ćpałam, czy jestem chora psychicznie. Czasami udało jej się namówić mnie na wykład dla studentów. Jedna ze studentek zapytała, co robić, by spełniło się życie. Odpowiedziałam, że wystarczy kochać własne dziecko.

Moi bliscy skutecznie wyciągali mnie z zaświatów, by móc się spotkać przy dobrej muzyce, poczytać moje książki, dać uczucie.

Kiedy nie wiedziałam, jak wybrnąć z jakiejś sytuacji, odwiedzałam Kasię, która kiedyś uczyła mnie angielskiego. Czasami pozwalało to na przetrwanie. Kasia odwiedzała mnie w psychiatryku. Jest doskonałym pedagogiem. Zawsze porusza mnie jej widzenie świata i Boga przede wszystkim. Kasia zawsze opowiadała o Bogu w kontekście życia codziennego.

Hm, nagle się okazuje, że tyle jest ważnych osób w moim życiu. A ja im uciekałam na samotne wyspy. Moi przyjaciele zawsze sprawdzali się w warunkach ekstremalnych i na co dzień. Teraz odkrywam to od nowa.

Cieszę się, że większość moich przyjaciół odnalazła swe miejsce w życiu. Są normalni, ale to niezwykle postacie. Od nich mogłam się uczyć, jak wyznaczyć ból i miłość.

Otaczali mnie szczególną opieką, starali się, a ja ich oszukiwałam, prochując się czy zapijając. Nie mówiłam im tego. Topiel była we mnie.

Są lekarzami, psychologami, prawnikami. Ja też kiedyś byłam psychologiem. Ofiarowywałam im taki czas, że na moment zapominali, co się wydarzyło.

Anka nie potrafiła. Żyjąc przeszłością, Anka niszczyła także siebie. Nie mogłam już jej pomóc, zresztą już nie chciałam.

Może to i dobrze, że Anka nie założyła rodziny, jest bardzo toksyczna.

Wulkan ożył po dziesięciu latach.

Danuśka uratowała jako chirurg setki dzieci. Nigdy nie umarło jej dziecko pod

skalpelem. Ale to ja chorowałam, nie Anka. To niewybaczalne.

Śmieszą mnie ludzie, którzy mówią, że nigdy mi nie wybaczą. Są bardziej chorzy ode mnie.

Prochy. Od dziecka się z nimi zapoznawałam, by zostać w końcu ekspertem od trucia się.

To, że kiedyś ładowałam w kanał herę, było tylko pewnym etapem, środkiem na własną niemoc. Miałam dużo szczęścia, wtedy nie było AIDS.

Zaczęła się kruczata ćpunów z plusem. Niektórzy nie rezygnowali z walki o siebie, studiowali i pracowali, byli neofitami. Przyglądałam się im chwilę, pracując w Powrocie z "U".

Pewnego razu przestałam kontaktować i podziękowano mi. Podstępem wprowadzono drugiego terapeutę na dyżur, by mnie kontrolował.

Świństwo straszne. Przestałam tam chodzić. Jedna ekipa, towarzystwo wzajemnej adoracji. Lubili mnie tam, kiedy już nie pracowałam, a i zawsze można było się mną pochwalić.

Mogłam być łachem, ćpunką, pisarką i poetką schizofreniczką, ale nie terapeutą. Wiem, że musiałam przestać pracować, ale... Wielu ćpunów z tego okresu już nie żyje.

Matko Boska Częstochowska, cuda, cuda w tym mieście... To, co świat wyrabia z odmieńcami, zawsze mnie zaskakuje, ułożone w język fachowców - filozofów, socjologów - nie tłumaczyło niczego. Ale przecież nie można światu ogłosić całkowitej bezradności czy bezsilności. Nawet ja trzeźwiałam.

Mama wyszła do kościoła, flaszki puste, niepokój twórczy narasta. Za godzinę mogę wziąć procha. Jutro moje urodziny, wypiję z Mamą szampana, a także z Ryszardem. Ryszard opiekuje się nami od choroby Taty. Czyni to dyskretnie, stał się domownikiem, a Mama ma mężczyznę do karmienia.

Już nie pamiętam, jak to dokładnie narastało, po kolejnych upadkach brałam się za

morde i funkcjonowałam. Nikt nie mógł poznać stanu mego umysłu.

Noce po zaprochowaniu były dla Mamy krytyczne. Nie wiedziałam, co robię, nie pamiętam, co się działo, czasami chciałam nago wyjść na ulicę, co szczególnie bawiło doktora Marka. W końcu usypiałam, a rano odnajdywałam kolejne prochy. I wytrzymałość Mamy się kończyła. Prosiła mnie, bym poszła do szpitala, ja jednak wolałam prochy i alkohol zamiast psychozy.

To jakiś horror, a ja ciągle dopisuję kolejne scenariusze. Raz w tygodniu jestem prawdziwa, odarta z maski normalnego człowieka, z różnymi oporami, ale czująca rzeczywistość. Leki na halucynacje i urojenia stawały się wrogiem. Od roku inaczej to wygląda, ale topiel zawsze jest najbliżej. Koszmar.

Godzina. Można przecież wytrzymać następną. Tylko jak to się robi? Nigdy nie byłam normalna i nie wiem, jak to jest. Przerastał mnie ból istnienia. Gdzie jesteś, Basiu?

Bóg nakazał właśnie tę epokę, a potrafiłam bywać zupełnie gdzie indziej.

Żalność mnie jakaś nachodzi, brak mi sił do dalszego przeżywania świata, ale trzeźwieję i mogę przestać być ofiarą. W ciągu tygodnia jedna godzina prawdziwej rozpacz. Za mało. Dużo zależy ode mnie, ale granat w kieszeni już odbezpieczony i muszę się spieszyć.

Mam umrzeć 1 marca, ale nie wiem, którego roku, taką informację dostałam od Boga na kartce we śnie. Muszę odejść od maszyny do pisania.

Dzisiaj są moje urodziny. Zadzwoiłam do Bożeny. Bożena uczy mnie miłości, która wszystko przetrwa, która jest wszechogarniająca. Po rozmowie z nią czuję się lepszym człowiekiem. Daje tyle wiary, że aż czasami i ja chcę iść do nieba. Tam już Tata z Michałem prowadzą się pod rękę.

Trzeźwa, czuję się niezbyt pewnie na tym świecie. No cóż, trzeba w końcu dokonać jakiegoś wyboru, czy się leczyć, walczyć ze zmorą, czy już do końca chodzić naćpana. A wtedy pojawia się pytanie, ile zostało.

To tak jakby zadzwonić do przyjaciela, powiedzieć mu, że się wieszasz i niech przyjedzie odciąć zwłoki. I takich znałam, którzy tak skończyli. Okrucieństwo.

Wczoraj widziałam w TV program o zespole poaborcyjnym, nie wiem, na jakim etapie jest teraz moja dusza, ale niestety dla mnie jest to sytuacja bez wyjścia. Dla tych kobiet, które zamordowały własne dzieci, nie mam wytłumaczenia i przebaczenia. Tego nie da się odreagować, nie dały swemu dziecku żadnej szansy.

Ja przynajmniej sama mogłam zdecydować o samobójstwie.

Może ktoś powiedzieć, że zabijanie rodzica jest podobne. Nie. Rodzic zawsze może się obronić.

Tak więc zatruwam się, może w końcu skutecznie.

Czy wybieram życie, czy piekło? Na piekło jestem gotowa, gdy tak chodzę po ulicach miasta, przyglądam się ludziom i zastanawiam, dlaczego życie doczesne jest taką wartością.

Wszystkie religie obiecują wieczne zbawienie, a jednak - jak to mówi moja ciotka - jakoś nikomu się tam nie spieszy. Mnie się bardzo spieszyło. A tu się walczy o każdą sekundę istnienia, próbując przebłagać bóstwa, los czy to, w co kto wierzy.

Gdyby nie archetypy, które we mnie ożyły, zastanawiałabym się, czy jest tam coś jeszcze. Mam mieszane uczucia, inaczej przeżywałam śmierci kliniczne, było się nad czym zastanowić, by poczuć Wielką Kosmiczną Czarną Dziurę. To mnie najbardziej chyba przytłacza. A może to jest właśnie piekło? Takie lewitowanie w ciemnościach, bez oparcia, bez jakiegokolwiek powłoki czy kształtu, kara za narodziny w kosmosie.

Może i ja kiedyś prześpię noc bez prochów i będę wiedziała, gdzie jestem, co robię i czuję. Tylko że teraz gadam sama z sobą, a może ze swoim sumieniem?

Tej książki jeszcze Mama nie może przeczytać, może następną...

Ułańska fantazja. Tak nazywano moje wychodzenie z nałogów. Nie mogę dopuścić do tego, by zostały mi siedemdziesiąt dwie godziny. Cokolwiek to oznacza, dla mnie to jedno - zdrowienie.

Na odwyku dostajesz środki zastępcze. Ja funduję sobie detoks na jawie i wolności.

Ale już czuję pierwsze objawy niepokoju psychicznego i nadmiar myśli, ale jeżeli ma to być przetworzone na język literatury, niech się toczy. „Kokaina” powstała w psychozie, „Schizofreniczka” w czasie wychodzenia z psychozy, znowu musiałam wytrzeźwieć.

Denerwuję się, złość na siebie. Wszystko wyłazi.

Po jedenastu latach w samo południe jestem trzeźwa i nie mów mi, Ogoniasty, że może by inaczej. Ogarnia mnie smutek, ale nie mam zamiaru się poddawać.

Depresja bez prochów aktywizujących. Nie ma rur w łazience, nie teraz.

Teraz mamy z Mamą tylko siebie. I niech tak jak najdłużej zostanie. Zawsze się kimś opiekowałam. No właśnie, Baśka. List od Ani z Bieszczad, tylko ona pamiętała o moich urodzinach, oprócz rodziny oczywiście. Danuśka jak zwykle obsypała mnie złotem.

Dla Ani z Bieszczad jestem Anną. Co za odpowiedzialność.

Wiesz, Aniu, postaram się napisać list i go wysłać.

Można przecież kochać cudze dzieci. Nie chcę zostać sama. Tylko kiedy piszę i słucham muzyki. Pić można od czasu do czasu z przyjacielem, pamiętając o powrocie do domu.

Mamo, przepraszam już za tę książkę, ale może zdążę napisać tę następną, w której godzę się ze światem i wyznaję Boga jako mego przewodnika. Ułańska fantazja jest pozytywna. Dużo jest we mnie złości twórczej.

Urszula powiedziała, bym nie zmieniała tytułu tej książki, bo to jest dar i znak od Boga i tak musi pozostać.

Obiecałam jej, że jak już będę bogata, zamieszkamy razem w wielkiej chałupie i będzie mogła żyć w końcu tylko swoim życiem.

Kurwica bierze mnie straszna od dwóch dni, zagrożony jest mój spokój. Przyjechała kuzynka Mamy na kilka dni i tępi mnie okrutnie, bo do tej pory to ona robiła za artystę w naszej rodzinie, a teraz ma rywalkę. I to ja jestem w internecie, a nie ona. Gdy przeczytała „Wdowę”, znalazła w niej jedynie błędy drukarskie. Wypieranie pewnych emocji całkowicie ogłupia.

Trzeba to przetrwać. Inaczej może się to skończyć szpitalem.

Niektórzy ludzie zupełnie nie mają wycucia sytuacji, Tata dopiero odszedł, a ona się tu wpakowała, bez przerwy gada i wszystko wie najlepiej. Trocheja ścięto, kiedy nie pozwoliłam jej „mieszać w garach”. Za to ja zaczęłam odreagowywać i podpuszczam ją na tematy religijne. Głoszę wszelkie herezje, włącznie z teoriami na temat piekła i chyba sobie z tym za bardzo nie radzi.

Wybieram się do piekła, ale dopóki żyje Mama, chodzę do kościoła. Czuję, że ponownie narasta we mnie jakiś bunt, ale nie biorę procha, chociaż to strasznie męczy. Kiedy za dużo czuję, mam wrażenie, jakbym była pokonana przez własny umysł.

Nie śpię drugą noc. Mam kryzys wiary w pisanie i samo życie w ogóle. Od kilku miesięcy panowała tutaj taka cisza, a teraz jakby jakiś kat stał nade mną.

Prochy nie pomagają na tak silny stres, ale przecież nie mogę się poddać przez jakąś nawiedzoną ciotkę.

Gdybym miała męża i dzieci, inaczej by to wyglądało. A tak wydaje się im, że ciągle trzeba mnie wychowywać.

Zawsze sama się wychowywałam, od dziecka, nikt nie potrafił zmieniać moich decyzji, chociaż włożyłam w topiel. Porażające chwile po prochach i alkoholu zmiatały mnie z powierzchni ziemi, bym powróciła z jeszcze większą siłą samozagłady.

Samozagłada jest wpisana w nałóg.

Jestem udręczona wodą i prochami. By z tym skończyć, trzeba jedynie pokochać stan trzeźwości i zaistnieć inaczej. Nie wiem jeszcze, w jakiej postaci, z jakimi myślami czy poglądami na życie. Ale nigdy się tego nie dowiem, dopóki nie spróbuję. Żadnych ludzi na sto metrów od Mego Królestwa. Inaczej ogarnia mnie całkowity obłęd.

Jest ściśle grono osób, z którymi mogę czasami przebywać.

Szanujemy swój czas. Poza tym bycie z przyjaciółmi w niektórych momentach ma szczególny wymiar, pomaga przeżywać ból istnienia. Prochy sterowały mną jak bombą na odległość.

Wystarczył niewielki, przypadkowy impuls i następowała we mnie eksplozja, w którą włączałam otoczenie.

Szaleństwo narastało powoli, lecz systematycznie, po okresie względnej stabilizacji.

Oprócz Mamy nikt nie mógł ze mną wytrzymać. I oprócz doktora Marka, ale o tym w innej książce. Z Tatą dogadywaliśmy się bezbłędnie. Kochał mnie zaborczo i jak każdy ojciec przeganiał każdego faceta.

Moja maszyna do pisania też mnie wkurza, spadła na ziemię i robi dziwne psikusy. Ale musi ze mną wytrwać do końca tekstu.

Gdy jeszcze bywałam aktywna medialnie, śmieszyły mnie pytania dziennikarzy, którym wydawało się, że mnie pojmują, że wiedzą coś o uzależnieniach. Pisywali głupoty, nie dając mi tekstu do autoryzacji. Nic sobie z tego nie robiłam, wiedziałam swoje, i to zupełnie wystarczało. Podróże po Polsce w roli etatowej narkomanki kraju też miały swoje uroki. Szokowałam wyznaniem, aż zrozumiałam, że każdy ma swoją historię i każdy mógł zasiąść na moim miejscu. Inni nie mieli jednak tego czegoś, co wzbudzało takie emocje i szarpnięcia duszy. Na spotkaniach starałam się być trzeźwa.

Raz dostałam stypendium z miasta, ale wystarczyło na wydanie jednego tomiku wierszy. Za to udzieliłam wywiadu regionalnej telewizji.

Kolejna książka stała się wyzwaniem. Dla najbliższych i mnie samej. Mogłam więcej chlać i się prochować, by uciec od rzeczywistości. Powroty do domu bywały coraz

trudniejsze. Kochałam ten niezwykły ból istnienia, który mi wmawiano, ale czułam inaczej i nie można było mnie oszukać. Może jedynie mówiłam o tym memu kotu. Lubię marzyć, właściwie cały czas marzę i przekładam to na papier. Dzisiaj się dowiedziałam, że „Kokaina” jest prawdą w osiemdziesięciu procentach. Nie zaprzeczyłam. To sprawa osobistego odbioru. Niekiedy i ja wierzyłam, że to jest możliwe. Marzę o flaszcze i prochach, lecz tak je schowałam, że lepiej nie szukać.

Nie, zwykła maszyna do pisania zupełnie się do tego nie nadaje. Ale kiedy naprawię tamtą... No co, dlaczego teraz mam nie zaćpać, kiedy mam doskonały pretekst. Alkoholik pije dwa razy do roku, kiedy pada deszcz lub kiedy nie pada. Chcę już umrzeć. Ale muszę skończyć jeszcze trzy książki. Okrucieństwo.

Dosyć rozczulania się, depresja i tak nie minie, a wena twórcza jest zatruta bzykającą nad uchem ciotką. Zaraz zwariuję.

A poza tym słucham dobrej muzyki. Amen.

Oj, Tato, dlaczego Cię już nie ma... Opiekowałam się Tobą do końca, do ostatniego oddechu, na trzeźwo, bym poczuła odlot Twojej duszy.

Tak namacalnie to odczułam, tak realnie wypłynęła z Ciebie, a teraz przychodzi w snach, trochę gniewna, bo złościsz się, że się truję.

Już jest napis na grobowcu. Nie płaczę, to tylko żal wymieszany z cząsteczkami bólu, które pozwalają nie zapomnieć.

Miłość jako spełnienie życia doczesnego.

Powoli się staczałam, chociaż inni tego nie widzieli, nie odczuwali.

Dzisiaj już nie śnił mi się odwyk.

Nie mówcie o Bogu. Proszę, już nie. Coraz trudniej się idzie do kościoła na mszę, przyjmowanie Chrystusa, kiedy to Ogoniasty miesza w modlitwie. Czuję, że jestem gotowa na wszystko. Przeszłość ostatnich jedenastu lat zlewa się z czasem obecnym.

Wiesz, Tato, chcę do Konrada, ale wiem, że nie spodobałby się Tobie. Nie pamiętani tego momentu, kiedy poczułam, że zapicie prochów wodą jest zbawcze na dwie godziny. Trzeźwienia wolę nie wspominać, w oczach mam błaganie o zwalczenie nałogu.

Raz się okazało, że prochy i woda nie dają wyciszenia i chyba musiałabym się otruć, by wreszcie coś poczuć.

Jeszcze wtedy wybierałam - albo prochy, albo woda. Nie pamiętam, kiedy się zatarły granice samokontroli. Kiedy przestałam nad tym panować. I nagle Wielki Eksperyment. Dlaczego tak chcę ratować własną wątrobę. Przez tyle lat się regenerowała, a teraz czuję, że jestem blisko siedemdziesięciu dwóch godzin.

Doktorze, walczysz o moje życie, dając wolny wybór, tylko czy można mieć do mnie aż takie zaufanie. Pogubiłam się. Wolę sięgnąć po procha, niż poczuć. Co wtedy mogłabym odkryć?

Osobę o ogromnej wrażliwości, pomagającą w cierpieniu, umiejącą przytulić i pokochać? Umiejącą poddać się uczuciu w sytuacjach intymnych? Męczyzna wciąż jest dla mnie fantazją. A ja bywam nie do zdobycia. Skamielina.

Kiedyś wydawało mi się, że można kontrolować takie stany, szczególnie agresji i rozdrażnienia. Bywało tak, że w końcu sama dochodziłam do siebie, lecz teraz nie potrafię wyjść poza zaklęty krąg i męczę siebie. Powoli tracę do siebie zaufanie i zaufanie do tych, którzy mnie znają i kochają.

Ale wreszcie Bóg zesłał powiernika i staję się człowiekiem bez maski. Jedynie z nieco zalęknionym sercem (nigdy tak o sobie nie mówiłam). Czy to się uda?

Chcesz, Basiu, tak szybko załatwić zatrucie umysłu i duszy. Nie zapieram się, nazywam rzeczy po imieniu i mówię, mówię. Nie chcę tak umierać.

Nie wiem, do czego jeszcze jestem zdolna, jaki pokrętny jest mój umysł. Gdy chlam i ćpam, to aż do katastrofy życiowej. Picie i prochy dają absolutne odłączenie od życia doczesnego i odbierają odpowiedzialność za wszystko. Nałóg jest bardzo destrukcyjny,

zarówno dla uzależnionego, jak i ludzi z jego otoczenia.

W stanie całkowitego upojenia wszelkimi dostępnymi środkami czuje się lęk przed powrotem do domu, a jak dzisiaj powiedziała przez telefon doktor Dorota - to okrucieństwo, kiedy lęk nie pozwala wrócić do domu, jedyne bezpieczne miejsce. Jest jeszcze inne rozwiązanie, można z domu nie wychodzić! Może trzeba w końcu zrobić zestawienie.

Bez prochów wytrzymuję dobę. Później wyję i spokojnie mogę iść do szpitala, za kraty, w pasy, zniewolona przez społeczeństwo i różnych mądrych ludzi.

Jeszcze nie wyczuwam własnej śmierci. Jest już poza moim zasięgiem, nie robię za stwórcę. Jestem na głodzie.

Papierosy rzuciłam pięć lat temu, od razu i bezboleśnie, nie miałam żadnych sensacji, głodów, zażerania się, żucia gumy itd. Po prostu pewnego dnia przestałam palić, a papieros przestał istnieć. Z resztą bywa gorzej.

Zmowa milczenia w mojej rodzinie prowadziła do wielu katastrof. Mogę odejść choćby dzisiaj, ale jeszcze trochę poczekam, to za proste.

Krzyk jest blisko nawet, nawet jeśli nie jest to krzyk po narodzinach, a jedynie rozpacz po czymś utraconym.

Pisywali do mnie różni ludzie, otwierali się jak przed spowiednikiem, ale wówczas nie potrafiłam unieść rozpacz drugiego człowieka.

Napięcie rosło jak w najlepszym dramacie. Przyłapywałam się na pokrętnym myśleniu ćpuna, który zawsze znajdzie pretekst, by zmienić stan umysłu.

Doktor Marek zawsze czuwał, bym nie zawisła, ale ja czułam, że to przedłużanie agonii. Dopiero przy łóżku Taty zrozumiałam, jak walczy się do końca.

Ale życie sobie zafundowałam. Wokoło byli sami uzależnieni - Anka od seksu, Danuśka od pracy, Mama od pomagania innym, kiedy ja już nie dawałam sobie pomóc.

Mój brat był uzależniony od żony, Tata od papierosów.

Mnie prześladowały książki, które rodziły się podczas snu, i nie wiedziałam, którą najpierw pisać.

Te jedenaście lat we mnie jest obłądem prochowo - alkoholowym i samobójczym. Kiedy leżysz na torach, jest ci zupełnie obojętne, co dalej może się wydarzyć.

Kurwa, znów popsuła się maszyna. Musi wystarczyć do skończenia tej książki.

Kiedy przestaję się kontrolować, lubię usiąść w fotelu i godzinami słuchać muzyki. Przy muzyce łagodniej albo wpadam na kolejny genialny pomysł.

Tylko dlaczego teraz czuję się tak parszywie. Wokół brakuje tlenu. Proszę, zostawcie mnie w spokoju, nie wygłoszę pogadanki na temat narkomanii. Nie chcę już siedzieć w tej szufladce. Jestem przecież po prostu poetką. Narkoman w końcu, kiedy się topi, sam dochodzi prawdy o sobie. I jego rodzina także.

Ludzie nie mają wyobraźni. Nie opowiadam już o narkomanii. Są książki, niech czytają. Wiem, że kontakt z legendą bywa interesujący, ale nie ze mną te numery.

Próbowałam się ratować. Dostawałam jakąś kasę książki i szalałam po świecie. Na zaproszenie przyjaciółki z Monachium bawiłam u niej ponad tydzień. Małgorzata jest uosobieniem zdrowego psychologa, ugościła mnie, pokazała miasto, pojeździłam sobie metrem, widziałam wioskę olimpijską i wiele ciekawych rzeczy.

Miasto bogate, nastawione na obywatela, nie utrudnia, pozwala zapomnieć o polskiej szarpaninie. Jeszcze wtedy paliłam i wydawałam po pięć marek na papierosy. Było mi tam dobrze. Prochy brałam tylko na noc, nie piłam, czułam, że Małgosia jest bliska mego przeżywania świata. Ale musiałam pożegnać letnie Monachium, miasto spokoju i względnej tolerancji dla odmieńców, i wrócić do kraju. System leczenia w jej klinice psychiatrycznej bardzo mi się spodobał.

Nie tak jak u nas, kiedy lekarze i terapeuci znikali w piątek, by objawić się w poniedziałek. Tam terapeuta czuwał całą dobę. Jeżeli pacjent miał lęki o drugiej w nocy, terapeuta był przy nim. A u nas na nocnym dyżurze lekarz po prostu śpi i przez telefon

ewentualnie zleca pielęgniarce podanie tabletki. W kombinatach psychiatrycznych od razu zakładają kaftan bezpieczeństwa, o nic nie pytając.

Zawsze byłam na głodzie polekowym. Ale można to po prostu przegadać, a nie pacyfikować. Więcej zdarzeń nie pamiętam.

Głód polekowy doprowadza do skrajnego rozdrażnienia umysłu i serca. Masz ochotę zabić.

Kiedy zaczęłam należeć do ZLP - u w Krakowie, moje życie trochę się odmieniło. Bywałam tu i tam, wychodziły kolejne książki, ale dla mego miasta nadal byłam trędowata. W końcu zniknęłam, jeżdżąc czasami do Krakowa na Noce Poetów, gdzie czytałam swoje wiersze. Ale to mnie wyczerpywało.

Jeszcze potrafiłam odmówić kolejnego kieliszka wody, chyba że piło się z gwinta. W Krakowie są inni ludzie. Do Warszawy przestałam jeździć, to miasto j miało za dużo przykrych i tragicznych wspomnień.

Bałam się czasami, że i Kraków zbezczeszczę, ale zawsze w porę go opuszczałam.

Pęd do wędrowania pozwalał na wyjazd z miasta. Przeważnie jeździłam sama na wczasy w siodle. Galop mnie uspokajał i nie popadałam w depresję. Samotne wyjazdy dawały pełną anonimowość.

Znano mnie już w Polsce z "Pamiętnika narkomanki", który nadal wzbudzał tyle emocji. Nauczyła mnie go odczytywać Mirka. Zawsze dostrzegała w moim pisaniu więcej i pełniej. Lubiłam jej recenzje. Raz się tylko zdenerwowałam, przy interpretacji „Schizofreniczki”. Ona nie podlegała żadnym dyskusjom filologa.

Tak, nie inaczej, musiał powstać ten tekst, to nie powieść, to wyznanie bólu, przetwarzanie emocji na skrajną przepaść. Taki film nie podlega cenzurze.

Przechodzili przez moje życie różni ludzie, niektórzy w bezczelny sposób domagali się pomocy, jakbym była ich światem. W końcu całkowicie zrezygnowałam z pomagania

ludziom twarzą w twarz. Tylko czasami odpisuję na listy. Psychologia praktyczna przestała być moim zajęciem. Była jedynie potrzebna do pisania książek, pomagała poznać psychikę drugiego człowieka. Na coś w końcu te studia się przydały. Miałam wycucie, ale prochy i alkohol powoli otępiały. Nawet T.Z. mówił, że nie wykorzystałam swoich możliwości. To nie tak, wykorzystałam je w pisaniu książek. Do pracy nie były potrzebne, państwo w swej dobroci zakazało mi wykonywania zawodu psychologa do końca życia, nie mogło być większej ulgi.

Wiem, że Mama z tego powodu cierpiała, ale to nie był stracony czas. Nigdy nie było straconego czasu.

Przyjaciele po ukazaniu się kolejnej książki gadali ze mną, cieszyli się kolejnym moim sukcesem. Podziwiali i nie pamiętali „Dziewczynki z zapalkami”.

Moim jedynym prawdziwym powołaniem jest świat poetów, nie psychologów. Pani Alicjo, opowiem Pani, jak się topię.

Nie wiem, co z tego wyniknie, ale może Bóg zmieni moją datę śmierci.

Mam tylu sprawdzonych przyjaciół, którzy spokojnie przyjmują każde moje powieszenie. Mirka kiedyś nie wytrzymała i mi nagadała. Powiedziała trochę za dużo i za boleśnie. Płakałam.

Sądzę, że teraz nie ma dla niej większego znaczenia, jak żyję i kiedy planuję kolejne samobójstwo.

W moje szaleństwo jest wpisane samobójstwo i niewiele można na to poradzić. Chyba że teraz zmienię kolej rzeczy i nie zapiję, nie zaćpam. Już jest inaczej, tylko niech na razie inni zostawią mnie w spokoju. Wyjście z matni uczuć własnych. Jakie zadanie sobie stwarzam. Nie wiem, czy podolałam, nie zawisając.

Walka o siebie jest zdecydowanie trudniejsza niż zadziergnięcie pętli. Ale dopiero teraz to sobie uświadomiłam. Mocne postanowienie ćpuna i alkoholika. Sama bym w to nie uwierzyła. Kiedyś powiedziałam doktorowi Markowi, że z narkomanii nie ma wyjścia. Nie zgodził się ze mną, zna wielu neofitów, ja znałam tych, co już odeszli.

Marlena miała dwadzieścia trzy lata, kiedy się skutecznie się powiesiła. Nie mogłam już jej pomóc, tak się zapętlila. Jej rodzice zrobili piękny grobowiec. I pytali Boga, dlaczego Marlena, a nie ja. Pokrętne myślenie, niczego nie tłumaczyłam, musiałabym dokopać rodzicowi. Marlenka była fanką moich książek, ale to jej nie uleczyło, miała własną topiel. To był inny układ w kosmosie. Marlenka była z tej strony lustra, widziała w nim jedynie łach i obrzydzenie do siebie. Nie była zakłamana. Jej szczerość nie pomagała, oprócz doktora Marka i mnie nikt jej nie słuchał, nikt nie ujrzał śmierci w jej oczach. Ja to wiedziałam na czterdzieści osiem godzin przed datą zgonu. I nic nie mogłam uczynić.

Marlena czasami przynosiła wódkę na oddział. Wypijałam ją w samotności. Nie umiałam walczyć z piractwem, ale się tym przeważnie nie przejmowałam. Żyłam dwutorowo, jako poetka lub jako świr. Dlatego nie miałam już żadnych oporów, by dać się wchłonąć przez siły nieczyste. Ale zawsze miałam poczucie, że zawadzam. Nawet Danuśka nie potrafiła mnie wysłuchać, Mama przyplącała to bólem serca, więc zrezygnowałam. Wiem, sprawdzali się w sytuacjach ekstremalnych, ale nikt nie wiedział, co przeżywam. Dla rodziny miałam maskę uśmiechu. Mieli wszystko, mieli książki. Za to moi czytelnicy święcie wierzyli w zapisane słowo.

A jednak w końcu się otworzyłam i nagle okazało się, że mam tyle problemów. Chcę już powrócić do swego wnętrza, ale to jest za proste. Na treningach karate walczyłam tak, by pokonać przeciwnika w ciągu jednej minuty. Dłuższe walki mnie męczyły.

Bardzo pragnę odejść. Codziennie rano budzę się z kacem życia.

Moje kochane małolaty. Możecie mnie lubić, kochać, podziwiać, szanować, tępić, wyzywać, gardzić mną, opluwać, zabijać słowem, ale nigdy nie przestanę Was kochać. Jestem Waszą przyjaciółką. Bo zaczyna się od jednej tabletki przeciwbólowej, za przyzwoleniem rodziców i całego społeczeństwa. Te reklamy w TV środków przeciwbólowych to straszna granda.

Potrafię teraz wziąć dwieście tabletek psychotropów i po prostu na chwilę zasnąć. Dla zwykłego człowieka, człowieka nieuzależnionego, ta dawka byłaby śmiertelna.

Nie da się już tak zwyczajnie uchlać codziennością. Faszrowano mnie tabletkami jak

kaczkę przeznaczoną na śmierć. Później zaczęłam to robić sama.

I przychodzi taki moment, że nie potrafisz dojść do knajpy, więc pijesz w domu do lustra.

Musiałam się odnaleźć w tym świecie.

Już nie potrafiłam. To było nie do wytrzymania. Czujności tych, co kochają, nie da się uśpić. Ale każdy uzależniony ma tysiące sposobów, by to ukryć. Tylko już czasami nie potrafią o to zapytać, przyklepując gównem. Nie mam pretensji do lekarzy, bo mnie ratowali, wzbudzali nadzieję, leczyli z choroby. To ja kiedyś nie wytrzymałam...

Gdyby nie leki - muszę być do końca szczerą - już by mnie nie było. Czasami pewnych rzeczy najlepiej nie wiedzieć. Ale to, co piszę teraz, nie jest usprawiedliwieniem. Mogłam przecież brać leki na chorobę, a nie powoli zwiększać ich dawki, zapijając wodą.

lipiec 2002

Doktor Marek uważa, że znów wyjdę z otchłani jak zawsze. Byłam u niego wczoraj. Oboje byliśmy zmęczeni. Zapytałam, czy mi wierzy, czy na tyle mi ufa, że przeżyję do następnego spotkania. Za tydzień jadę z kotką do lekarza na kontrolę. Nie mogę jej zawieść. Przyszło potwierdzenie z Cambridge Anglia, że już szykują mi srebrny medal, a poza tym dostałam zaproszenie na kongres do Londynu na spotkanie wybranych z tysięcy wybranych do „Who is Who”. Wybrana z wybranych z całego świata. Ale się narobiło. Oczywiście do Londynu nie pojedę.

Kiedy ostatnio jechałam do Londynu, autokarem, mieliśmy postój we Francji przed wjazdem na prom. Oddaliłam się od grupy, a byłam tak nawalona prochami, że zgubiłam autokar i nie potrafiłam odnaleźć terminalu, z którego był odprawiany. Chodziłam od terminalu do terminalu i mówiłam, że zgubiłam „my bus”. W końcu przysiadłam na rozdrożu i zaczęłam się modlić. Miałam przy sobie tylko paszport. Gdy dotarłam po modlitwie na właściwe miejsce i powiedziałam „I lost my bus”, okazało się, że już pojechał na prom. Wtedy francuski policjant wziął mnie do swego wozu i jadąc na sygnale, zdążyliśmy ich dogonić. Cała wycieczka była na mnie zła, ale i szczęśliwa, że się odnalazłam. Na promie trochę mi dokuczano, że nie powinnam jeździć sama, a byli to ludzie, którzy po odprawie w Anglii zniknęli. W drodze powrotnej brakowało dwóch trzecich pasażerów.

W Londynie byłam grzeczna. Zwiedzałam, byłam bardzo punktualna i po powrocie do hotelu do rana oglądałam TV. Czasami żałuję, że tam nie zostałam na zawsze.

Francuski policjant był zaskoczony moimi podziękowaniami. To zdarzenie jeszcze do dzisiaj budzi we mnie lęk i powoduje falę drżenia wzdłuż kręgosłupa. Mama nie dowiedziała się o tym nigdy.

Bardzo często śnię, że jestem w Anglii i rozmawiam po angielsku. Nawet nieźle mi idzie. Jak miło zamawia się drinka w knajpie, którą odwiedzał sam Dickens. Tam czas nie istniał, miałam ochotę bawić się świetnie i to robiłam, bez lęku, bez niepokoju, bez wspomnień. Londyn, czasami tak mi się wydaje, to moje miejsce na świecie. A teraz rezygnuję z takiej frajdy.

Zapytałam ciotkę, dlaczego Pan Bóg stworzył dinozaury przed człowiekiem. Chyba się na niej odegrałam.

Jestem nadal zagadką, dla samej siebie też.

Kto tu rządzi?

Mniej piję. Z prochami bywa różnie.

Sprawę z Cambridge przesuвам w nieznany czas, a oni uparcie ślą listy z gratulacjami. Obłąd.

Rozdygotanie, drzączka, gonitwa myśli, otchłań, myśli samobójcze, utrata zdrowia fizycznego i psychicznego...

Pomyśl o tym, Czytelniku, gdy zaboli Cię głowa i weźmiesz tabletkę. Chyba że jest to poważniejsza choroba, wtedy ważniejsza jest walka z bólem. Rozumiem to.

„Kokaina” dociera do różnych ludzi i nawet niektórzy wprost pytają, czy dawałam dupy. Ja nazywam dawaniem dupy wszelką głupotę.

Już nie zaprzeczam, nie potwierdzam.

Świat mnie przerasta. Nie mogę wyjść z domu, by nie dostać rozstroju nerwowego, a oni każą mi jechać do Londynu na kongres, gotowa na wszelkie możliwe pytania, na ekskluzywne życie, ból nieznanego i dla mnie niepotrzebnego.

Gdy zabraknie Mamy, kto pójdzie po chleb? Przepraszam, ale chyba zupełnie zdziczałam.

Moje Królestwo jest w porządku, tutaj mam wszystko, czego mi potrzeba. To nie ja wysyłam książki do druku, ja je tylko piszę. Więcej grzechów nie pamiętam.

To chyba ostatnie stadium niemocy, ale jeszcze podchodzę do telefonu, odpowiadam na listy z Anglii, chyba na większe potępienie siebie. Może w moich książkach jest to coś, czego sama nie chcę wyczytać.

Ogoniasty siedzi w fotelu, zabrania mi kontaktować się z doktorem Markiem. Jest o niego zazdrosny?

Przepraszam, muszę wziąć prochy. Żeby pozmywać naczynia po obiedzie. Chyba w końcu nauczę się milczeć.

Moje wnętrze jest porażające. Powiedziałam doktorowi Markowi, że zapracowałam na piekło, a on na to, że są okoliczności łagodzące.

Z każdą książką palę jakiś most za sobą. Teraz nawet Bóg mi przeszkadza.

Jest mi naprawdę przykro, że to się tak potoczyło. Wiedziałam, że kiedyś utracę kontrolę, ale do końca w to nie wierzyłam.

Wczoraj, przechodząc obok zakładu fryzjerskiego, miałam ochotę do niego wejść i ochlastać się na лыso. To czasami pomagało.

Tak długo nie byłam w stanie śmierci klinicznej, całe dwa lata.

Bardzo pragnę, by mnie już nie drażniło życie.

Przestałam się odzywać w domu, to znaczy paplać, bo to drażni Mamę. Dla rodziny nie mam problemów, to znaczy nie mam prawa ich mieć.

A rozważania, czy się powiesić, czy się nie powiesić, to czysta filozofia.

Tak więc zostałam zupełnie sama, nie licząc przyjaciół, których mam. Dla nich, oprócz Urszuli, jestem OK.

Siedzę sobie w domu, słucham muzyki, jakiś wiersz popełnię, bez zobowiązań, na luzie. Nawet jak testują moją barwę głosu przez telefon, stwierdzają, że chyba u mnie wszystko dobrze. Potwierdzam. Wczoraj wzięłam za dużo prochów i ogarnęło mnie to niesamowite wycucie śmierci, ale nie byłam pewna, swojej czy Mamy. Jedni mnie traktują jak osobę zupełnie zdrową, inni jak kompletnego świra. Prawda bywa zawsze gdzieś pośrodku.

Tylko co z tego, kiedy moje emocje wobec świata i ludzi zmieniają się co pięć minut. Sama nie wytrzymuję tej huśtawki i idę do lekarza po następne prochy. Śnię. Tylko moje marzenia tak dziwnie się kurczą. Teraz marzę, by skończyć te trzy książki, które właśnie zaczęłam. Ważny jest tomik dedykowany Tacie.

Jestem, mówiąc fachowo, w głębokiej depresji.

Czy napisanie kolejnych trzech książek wystarczy, by przeżyć ten tydzień, do czwartku? Bo w czwartki mam godzinę luzu dla swoich obsesji.

Na razie nie będę się kontaktować z doktorem Markiem. Wiem, co mam robić. Może zajrzę do niego po wakacjach.

Linia życia powoli się załamywała. Wystarczyło lustro, prochy i flaszka.

Pisałam wtedy różne rzeczy, które być może zostaną odkryte dopiero po mojej śmierci. A Mirka twardo milczy, co ja jej takiego zrobiłam?

Przechlałyśmy sporo wina i szampana, a najwięcej piwa. Teraz gust mi się zmienił, wolę wódę, koniaki, ewentualnie rum.

W knajpie dyskretnie łykam garść prochów, popijając alkoholem.

Doktor Marek ma do tego zdrowe podejście. Daje mi całkowicie wolny wybór.

Pozbyłam się telefonu komórkowego. To też jakiś sposób, by nie komunikować się ze światem.

Listy drażnią, ale jeszcze je czytam, bym na przykład nie przegapiła takiej Sylvii.

Kiedy idę przez miasto, skręca mnie w różne zakątki, gdzie są knajpy, jedna ładniejsza od drugiej, z ludźmi pijącymi na luzie, trującymi się papierosami. Jeżeli akurat kontaktuję, coś do nich mówię. Pytam na przykład, czy nie szkoda zdrowia na papierosa. I jeszcze za to w pysk nie dostałam. Teraz przestałam pytać, przestało mnie to nagle interesować.

Może, jak w "Kokainie", przeczuwam kres?

Kiedyś moi przyjaciele wypijali ze mną drinka, do czasu aż zrozumieli, że dla nich to tylko drink, dla mnie skok w przepaść głową w dół.

Już nie ma kto ze mną pić, może czasami Danuška. Ale ją staram się przed sobą chronić.

Są wrażliwi ludzie, jest ich całe mnóstwo, ale psychopaci depczą nadwrażliwców, oszukują, znęcają się nad nimi.

Ludzie pracujący z uzależnionymi w ogóle nie wiedzą, o co tu chodzi. Zarzucano Markowi Kotańskiemu, że nie może pomagać ćpunom, bo sam nigdy nie brał narkotyków. Przy charyzmie Kolana i jego umiejętności wczuwania się w dusze innych... Ale takich Kotańskich jest niewielu, może tylko on... Wtedy nie umieliśmy się porozumieć, ale przyczyna tkwiła we mnie.

Tylko doktor Marek widzi okoliczności łagodzące i nie zgadza się ze mną, że mam potworną duszę.

Już bym wołała, by na mnie nakrzyczał jak na małą dziewczynkę.

Ale i w jego oczach dorosłam. Czasami czuję się za bardzo skomplikowana dla samej siebie.

Tato, teraz już wiesz bez słów, czujesz to, ale się do Ciebie nie wybieram, kocham piekło.

Rodzina i moi fani na pewno się postarają godnie mnie pochować w poświęconej ziemi.

Kopa w żyłach po wódzie poznałam, mając czternaście lat. Od tego czasu stałam się inną Basią. I wreszcie renta z prochami i piciem.

Nie pamiętam, kiedy zaczęłam kojarzyć wódkę z prochami, czy był to Londyn, Paryż, Wenecja, Izrael. Ale zawsze udawało mi się powrócić do domu. Teraz nigdzie się nie wybieram, a nałogi pozostały.

Pamiętam lot samolotem do Izraela, piłam całe cztery godziny. Boję się śmierci w katastrofie, więc piłam, by umierać na wesoło. Ale stres był tak duży, że ciągle czułam się trzeźwa. Tam, na górze, nie mogłam się zapić.

W drodze powrotnej było jeszcze gorzej, wypłam wszystkie drinki ku oburzeniu pielgrzymki.

Odwiedziłam z Ogoniastym święte miejsca. Nie potrafiłam zostawić go w Polsce. Może dlatego nasz samolot się nie rozbił.

Oparcie w Bogu? Proszę księdza, ksiądz zabrał mi ostatnią szansę.

Ale doktor Marek powiedział, że Bóg bardzo mnie kocha.

Alkohol, prochy i ja. Przez ostatnie dziesięć lat mego życia stanowiliśmy jedność. Książki trochę drażniły, musiałam w jakiś sposób zapanować nad maszyną do pisania.

Kiedy Tata na dwa lata przed śmiercią miał operację dróg żółciowych, Jego stan był ciężki. Codziennie pytał, czy syn przyjdzie do szpitala, a wiedział, że Tata jest po operacji. Biedak miał nawet halucynację, że Janusz był u Niego. A ja powiedziałam wprost - nie, Tato, syna nie było.

Ale to już jego sumienie, jeżeli je ma.

Bo nawet mnie, kiedy trzeźwieję, sumienie wali prosto w twarz. Kiedy alkohol przestaje działać, musi być kolejny łyk, by policzyć ilość prochów, które biorę.

Czasami przedawkuję. Nie wiem, co wtedy mówię przez telefon, ale zawsze przyjeżdża karetka reanimacyjna na sygnale.

Ciągle mnie pytano o faceta. A kto by ze mną wytrzymał?

Teraz wszyscy się podniecają, że młodzież ma tak częsty kontakt z alkoholem i papierosami. Wcześniej też tak było, tylko był to temat tabu. Jako małolata nigdy nie byłam na prywatce, na której nie byłoby alkoholu.

Mam nadzieję, Drogi Czytelniku, że moje książki nie zwiódą Cię na manowce, chyba że na Cudne Manowce Stachury.

Wydaje mi się, że straciłam wszystko, czyli kontrolę nad swoimi emocjami, umysłem, wolną wolą.

Po powrocie z psychiatrika zawsze od razu dokładałam sobie procha. Nie miałam prawa czuć. Pani Alicjo, czy damy radę?

Znowu walka z czasem. Może w końcu znajdą szczepionkę przeciwko AIDS, inaczej trzy czwarte Afryki wymrze.

A co było za zasłoną prochów i alkoholu? O tym pisałam w innej książce. Teraz uzależnienie poszło w innym kierunku. Miałam przy sobie ukochanego Tatę, starającą się utrzymać dom Mamę, miałam wielbicieli na całym świecie i byłam porażająco samotna. Dlatego trzeba było uszkodzić świadomość. Stan obecny posunął się za daleko, ale nie wrócę do psychiatrika.

Nawet Mama po chorobie straciła czujność, ostatnio nie zauważyła, że wypila Jej pół butelki spirytusu. Słabsze alkohole już na mnie nie działały. Były przeróżne wpadki, przeprosiny, obietnice - znacie to, żony i dzieci alkoholików?

Niekiedy byłam okrutna dla moich pacjentów, to znaczy zostawiałam ich z ich problemami i odchodziłam do psychiatryka. Wiem, że każdemu trzeba dać szansę, dopóki żyje... Nigdy nie zabiłam człowieka, rodzice to inny układ, natomiast własne dzieci...

Czasami miałam marzenie, by mieć córkę. Ale oprócz nałogu, co mogłabym jej ofiarować?

Kiedy ktoś zwraca się do mnie „pani magister” - nie czuję tego zupełnie. Przecież jestem zatruwającą się poetką.

Może po prostu usnę pewnego dnia przy maszynie do pisania. Może Bóg, jeżeli jest, przyśle mi Anioła Stróża i przepędzi Ogoniastego. Ale wtedy chyba stałabym się bardzo nieszczęśliwa.

O lordzie Paradoksie, przez ostatnie dziesięć lat uratowałam tyle duszyczek przed samobójstwem, przed wzięciem narkotyku, dawałam wiarę i siłę we własne możliwości. Tylko sobie nie potrafiłam pomóc. Poznałam pewną prawdę, by znowu mącić w sobie. Czasami wolałabym nie mieć takiej świadomości, jak przy pisaniu „Schizofreniczki”.

Jeżeli czasami muszę odczuwać, jak przy Tacie w szpitalu i podczas Jego ostatniej drogi, chcę się dowiedzieć, kim jestem, ale od razu wpadam w otchłań. Mnie nie słuchano. W rodzinie byłam dziwną maskotką, przy wiezioną z zupełnie innej planety.

Nie zauważano mnie.

Jedynie Matka staruszka troszczyła się, bym jadła, a moje milczenie budziło Jej wielkie obawy. Ale nigdy Jej nie spytałam, dlaczego tak się boi ciszy. Byłam na rozdrożu, mówienie było złe, rozmyślanie złe, wyjście z domu na dłużej złe.

Nawet Ryszard powiedział, że bez matki zginę. Nie wyprowadzałam go z błędu. Albo umrę, albo setny raz podniosę się z popiołów. Tak łatwo traciłam kontakt z otoczeniem. Ale pisząc, nawet w swym chaotycznym stylu, czułam, że Bóg nie zostawi mnie tak po prostu w połowie drogi. Muszę jeszcze raz w Niego uwierzyć. Tylko pani Alicja pyta, co się dzieje w moim świecie. Tato, gdzie jesteś?

Przepraszam, ale widzę pętlę w łazience.

W okolicznych sklepach monopolowych znano mnie doskonale, kiedyś chciałam kupić pięćdziesiątkę wódki, jak w knajpie, a pani powiedziała z karcącym wzrokiem, że w sklepie są tylko setki. Musiałam na jakiś czas zmienić monopolowy.

Musiałam wracać do domu w miarę przytomna, inaczej cała dzielnica wiedziała, że Rosiek znowu zapła czy zaćpała i, co gorsza, mówiono o tym Mamie. Życzliwość ludzka zawsze uderza wtedy, kiedy najbardziej boli serce i kiedy Mama traci oddech.

Wprawdzie na studiach miałam piątkę z psychologii społecznej i socjologii, ale już nie pamiętani, co tam chodziło. Jeżeli ja nie wchodzę bucioremami w życie sąsiadów, to dlaczego się czepiają. Może chcą się poczuć trochę lepsi.

Co ja robię ze swoim ciałem? Gdzie jest umysł? Duszę już dawno zeżarło.

Człowiek jako istota społeczna - przypomniało mi się. Jestem aspołeczna. Nie dla moich czytelników, ale między mną a nimi jest przepaść. We mnie jest przepaść.

Niech w końcu przestaną przychodzić listy z Cambridge z gratulacjami. Trochę spokoju.

Gdy Mamy nie było, przygotowywałam Tacie kolację. Był to jedyny facet, któremu szykowałam jedzenie. A później szłam do Mego Królestwa, ćpałam, piłam i czuwałam nad własnym szaleństwem. Czasami tylko robiłam małą demolkę w swoim pokoju, czego rano nie pamiętałam. Długo szukałam różnych rzeczy, które chowałam sama przed sobą.

Usypiałam z nadzieją, że już się nie obudzę. Nie przewidziałam, że dostanę jeszcze dziesięć lat życia.

Miałam bardzo silny organizm, a od dwóch lat to Tata gaś i nic nie mogłam uczynić,

nawet Boga nie prosiłam o cud, zalewając pałę.

Jak musiałam siebie nienawidzić, by tak się staczać, po cichu wprawdzie, ale systematycznie i na dużą skalę. Zaczynało brakować punktów w skali. Czasami sama na sobie badałam testami psychologicznymi skalę lęku i wyżej już się nie dało. To nauka, życie nie ma skali.

Byłam za silna na samą siebie. Wiem, że do czasu. Zabawa się skończyła.

Czasami jeszcze próbowałam zaistnieć jako psycholog, ale to były klęski. Chociaż na początku zdawało się, że leki dają pewne wyciszenie, zamazywały one obraz patologii u drugiej osoby. Na szczęście jeszcze nie zawodziła mnie intuicja. Wiedziałam, że umrze Marlena, że kończy się Paweł i wielu innych.

Miałam nosa, kto mnie skrzywdzi, a kto wyciągnie pomocną dłoń.

Lecz z czasem te granice się zacierały i starałam się tak przymulić, by nie dopadało mnie własne wnętrze.

Dopiero gdy wtulałam się w silne ramiona Filipa, na moment czułam, że istnieję. Filip mógł mi podarować wszystko, oprócz własnego życia.

Gdy tak konał na moich rękach, obiecał, że będzie czekał, a ja tu od dwudziestu lat bałamucę. Dobrze by nam było razem. Ale czy i wtedy Ogoniasty odszedłby z mego życia?

Od dziesięciu lat próbuję dołączyć do Filipa, ale On jest w niebie.

Może spotkamy się w Czasie Apokalipsy.

Nałóg zabija, życie zabija, miłość zabija. A może jednak Bóg istnieje?

Starsze panie chodzą codziennie do kościoła na wieczorną mszę i próbują przebłagać Boga. Nie przy nich moje miejsce.

Starzeję się, Filipie, ale jeszcze ani razu nie wyszedłeś do mnie w tunelu, nadal nie

mam przewodnika.

Bardzo chcę być sama. Nie mogę patrzeć na ludzi, mam ludostręt tak jak narkomani opiatowi mają wodowstręt. Im to przechodzi.

Jim Morrison miał bezpośredni telefon do Boga. Dał mu go Andy Warhol. Ale Jim go porzucił. Mnie telefon jest już niepotrzebny.

Kiedy wstaję rano, najpierw zastanawiam się, co się tej nocy przyśniło, następnie badam swoje ciało, czy istnieje, później zaczynam czuć nasilający się lęk. Wtedy daję sobie pierwszą dawkę prochów i czekam, leżąc w łóżku. Gdy na oczy nachodzi mgła, mogę wstać coś zjeść. W południe ćpam dalej, by mieć odwagę iść do monopolowego. Później otwierają najlepsze knajpy. Zaglądam do pracy do Urszuli i kończę w ostatniej knajpie. Potem trochę trzeźwieję i piszę. Po kilku następnych godzinach ładuję sobie prochy na noc i czuję powiększoną wątrobę. A poza tym udzielam wywiadów. Przestałam pytać innych...

W mojej rodzinie są sami lekarze i pedagodzy. Może rzeczywiście tak doskonale umieram, że mój uśmiech na twarzy wystarcza, by przejść do porządku dziennie - nocnego. Spokój ma być wpisany w układ całej rodziny. Byli na mnie wściekli za to, że zachorowałam na gruźlicę płuc. Nawet Małgorzata z Monachium spytała w liście, jak to się stało, że jestem taka mobilna, zamiast zwyczajnie spytać, jak się czuję.

Całkowicie zrezygnowałam z tak zwanego życia publicznego, nawet moje miasto o mnie zapomniało, ale to za moją przyczyną. A poza tym, jak zwykle oprócz marzeń, prochów, flaszki, mocnych postanowień, że zostawię Mamy spirytus w spokoju, już niczego nie oczekiwałam.

Poza zapisywanymi stronami pozostało już tylko milczenie.

Wszelkie spotkania autorskie zaskakiwały. Prawda albo poraża, albo śmieszy. To mechanizm obronny.

Nie pytajcie już o nic. Nic więcej nie mam na ten temat do powiedzenia. Pielgrzymki wiernych już nawiedzają miasto, będą i tacy, którzy zapragną mnie zobaczyć. To po prostu niemożliwe.

Jak ukryć drzenie całego ciała, maskę polekową na twarzy, niechęć do rozmowy. Proszę, nie przeszkadzajcie już mi się topić, przecież robię to od urodzenia.

Po alkoholu kocham życie, po prochach śnię, po alkoholu i prochach bywam drażliwa wobec ludzi i siebie.

Dzisiaj we śnie kupowałam czarną suknię, ale nie wiem, z jakiej okazji. Wyglądałam jak anioł śmierci. Ludzie się zmieniają, uzależnienia od początku ludzkości - nie. Zawsze chciałam żyć w innej epoce, ale i to nie ratowałyby od nałogu.

Nie miałam kochanków, tylko czasami mężczyźni proponowali seks bez ogródek, jak dziwce. Lubię się kochać, ale czasami rozum zabiera tę część ekstazy, która podlega kontroli. Może dlatego ćпам, by przestać kontrolować swe uczucia.

Ale do tego powinny wystarczać halucynacje. Już nie wystarczały. Byłam osaczona. Jak na polu walki, przegrywałam pojedynki ze wszystkimi moimi wrogami. Dlatego zamknęłam się w Moim Królestwie nie z tego świata. Ale i tutaj dopadał mnie głód miłości.

Kiedyś, tak po prostu, trzeba będzie odejść.

Czasami tak pragnę wyzdrowieć, że gniewam się na terapeutów. Uciekam przed światem, by nie poznali oblędu na twarzy, ale to nic nie daje. Wracam do terapii, chłania, prochów i poznaję swoje potworne wnętrze.

W każdej swojej książce pytam, czy nie uzdrowiłaby mnie miłość. Bóg jeszcze nie odpowiedział.

Chyba dlatego się na Niego gniewam. A może gniewam się na samą siebie, że nie potrafię wrócić zza drugiej strony tęczy.

Umówiłam się z przyjaciółmi na spotkanie, ale już w nie nie wierzę.

Śnił mi się Tata, który powiedział, że ładnie wyglądam w czarnej sukience.

Doktorze Marku, nie wiesz, ja też już nie wiem... Zamiary Boga bywają proste, to

pokrętna dusza człowieka je komplikuje, sprzeciwiając się w krzyku rozpacz. Czuję w sobie moc wzięcia porannych tabletek. Wiem, że doktor Marek już poznał tajemnicę.

Kiedy trzeźwiałam, od razu hormony pracowały inaczej i bardzo chciałam się kochać. Ale wybudzony rozum nie pozwalał na to.

Chyba rozumiem, dlaczego mężczyźni gwałcą kobiety.

Przyznałam się T.Z., że w nocy uprawiam nierząd z Ogoniastym, chciał znać szczegóły, ale to nasza tajemnica.

Jeszcze potrafiłam przez te dziesięć lat trzeźwieć. Ale nie w mieście. Co jeszcze ukrywa moja podświadomość? Może zdążę się dowiedzieć na terapii?

Ostatnie dziesięć lat - wywiady, spotkania autorskie, odpisywanie na listy, pisanie książek, powolne zamykanie się w sobie, powolne zwiększanie lęku przed wyjściem z domu, lęku przed czytelnikami, przed dziennikarzami, niemoc wyciszenia emocji i myśli inaczej niż przez prochy.

Na początku alkohol był tylko dodatkiem, gdy miewałam spotkania autorskie, troskliwi opiekunowie wspomagali mnie wódką, a później stało się to warunkiem wystąpienia przed publicznością.

W końcu zrozumiałam, że nie jestem w stanie stanąć z czytelnikiem twarzą w twarz, a o telewizji nie było mowy.

Przeczuwam śmierć Mamy. We śnie przychodzi do mnie Tata. Czekam, co ma tak ważnego do przekazania. Może tłumaczy, że niedługo zostanę sama.

Mama dzisiaj płakała przeze mnie. Nie skrzywdziłam Jej, ja Jej tylko uciekam. Jest zupełnie bezradna, nie bardzo potrafię Jej dać bezpieczną i spokojną starość. Ona chce już dołączyć do Taty.

Czy wtedy zachłam i zaćpam, czy przywołam własną śmierć?

Moja Mama cierpi. A ja znowu nie potrafię krzyknąć.

Posprzątam mieszkanie, popiszę, pooglądam TV, zapochuję się i uśmiechnę do Mamy, przytulę Ją.

Nie zostawię Jej tutaj samej. Ta myśl trzyma mnie przy życiu, ale jak to wytłumaczyć mojej wątrobie czy sercu? Za trzecim razem pożegluję...

Na razie odejdę od maszyny i pójdę do pokoju Mamy. Niech się trochę wyciszy. Nawet podświadomie jest zazdrosna o pisanie, albo więcej, boi się pisanie, bo zawsze po kolejnych książkach ładowałam się w jakieś gówno. Ona się tego boi. Czasami czujemy tak samo.

Przepraszam, Mamo. Tak bardzo Cię Kocham. Ale niszczę siebie, zwodzę przyjaciół, że jest OK. Czy w Boga można nie wierzyć?

A jednak jestem w jakiś sposób naznaczona.

Dokładam wszystkim nagą prawdą, dla jednych jest to niesamowite, dla innych porażające, bolesne dla bliskich, a dla mnie oznacza niebyt.

Prawda wzbudza sprzeciw i odrzucenie. Może daje fałszywe nadzieje?

A może częściej bywam potępiana za coś, co inni w swych podświadomościach choć przez chwilę chcieli przeżyć. Nie wiem.

Uspokołam Mamę, mogę dalej pisać.

Dla wielu jestem zwierciadłem duszy, a może się mylę, może spotykam się z niewłaściwą stroną ludzkości?

Wiesz, Mirko, byłeś przy mnie, kiedy innych zabrakło, a teraz nic o Tobie nie wiem. Gdybanie po prochach nie ma żadnego sensu. Ludzie tak szybko odchodzą, możesz nie zdążyć. Uczucia przytępiają odczuwanie. Złe uczucia.

Mam poczucie, że gniewasz się za moje listy, że się próbujesz odkryć, a ja tępię każdy Twój gest. To nie tak.

Po prostu nie znasz jeszcze mojej życiowej klęski i reagujesz jak zdrowa osoba na zdrową osobę. Jestem bardzo chora, Mirko. Umieram.

Porzuć nikotyne, może za zasłoną dymną ujrzysz inną osobę, tego się boisz?

Może kiedyś przeczytasz ten tekst, pragnę tego, nie żeby Ci dokopać, ale żebyś trochę inaczej spojrziała na chorobę. Nie potrzebuję Twego gniewu, milczenia, obrażania się, może jedynie trochę zrozumienia.

Jesteś filologiem i proszę Cię o jedno, nie analizuj tego tekstu jak krytyk, ale jak przyjaciel. Nadal uważam Cię za swojego przyjaciela, choć żyję już w zupełnie innym czasie.

Kiedy jeszcze pijałam z innymi, czasem udawało się stworzyć wspólnotę z drugim człowiekiem. Później weszłam w etap picia do lustra.

Czasami wyciągałam dłoń do drugiego, uczestniczyłam w życiu innych, aż pewnego dnia zrozumiałam, że wolę być sama.

Daję sygnały, ale inni nie potrafią ich odczytać.

To ja jestem autorytetem, spowiednikiem, osobą godną zaufania i jeszcze nie wiem kim.

Zmienianie knajp i sklepów z alkoholem miało jeszcze kiedyś swój sens, teraz się tym nie przejmuję. Czasami jestem zła, że inni dopominają się o moją obecność, oprócz wiersza nic już nie potrafię ofiarować.

Nadal jestem poetką, inne sprawy już utraciłam, odrzuciłam. Bardzo źle znoszę pytania innych, oprócz pani Alicji. Zostawcie mnie w spokoju, proszę.

Najpierw było picie, szalone, młodzińcze, potem sygnały usypiające czujność

podświadomości, by wszystko się rozkołysało, rozbudziło.

Trochę dokopało. Ale testamentu nadal nie piszę. Co za przewrotność podświadomości.

Pierwszy papieros - czternaście lat, pierwszy alkohol - czternaście lat, pierwszy narkotyk - czternaście lat. Pierwsze prochy - czternaście lat. Pierwszy facet...

Przez to nie miałam żadnych szans na rozwój uczuć, tylko intelekt mnie samą przerastał i zwodził, że wszystko jest OK.

Nie wiem, kim jestem, bo nie dałam sobie żadnej szansy, by się poznać, poczuć, dorosnąć, dojrzeć do odpowiedzialnej miłości.

Inni ludzie we mnie za bardzo boleli. Wolałam się zwierzyć flaszcze, psu, kotu, sobie samej, w końcu kartce papieru.

Nie potrafię patrzeć na cierpienie Mamy, więc czasami wychodzę z domu. Nie można wszystkich kochać lub nienawidzić. Odpadam od tej ściany.

Teraz to ja zaglądam do drugiego pokoju, by sprawdzić, co robi Mama i w jaki sposób oddycha. Ona to czyniła przez całe moje życie.

Pierwszy wiersz - czternaście lat. Do przyjaciela, którego nie miałam.

- Jakoś to będzie - mawiałam w krytycznych sytuacjach i żyłam dalej, a inni po prostu odchodzili.

Przed śmiercią otwiera się oczy.

Tata umarł z otwartymi oczami. Po stwierdzeniu zgonu jeszcze ofiarował mi ostatni oddech. Potem stężenie pośmiertne nastąpiło bardzo szybko.

Nie panuję nad emocjami bez prochów, czy już właśnie po prochach? Zaczepiają mnie

na ulicy różni ludzie i pytają o coś, nie rozpoznają ich i nie wiem, o co im chodzi. Pytają, czy pamiętam to czy owo. Nie pamiętam.

A tak kochałam walczyć o wszystko, czego pragnęłam, i moje marzenia się spełniały, jakby je realizowała złota rybka. A później coś się zaczęło we mnie psuć.

Wiem doskonale, gdzie są prochy, flaszki, moje ukrzyżowanie, bunt, tylko serce nie płacze, bo boli coś innego. Boli mnie dusza.

Zwiedziłam tyle miast w Europie, tyle pięknych rzeczy widziałam, cieszyły mnie tajemnice innych kultur, świątynie innych wyznań, po to, by wrócić do Świętego Miasta Częstochowy.

Poprzez moje książki rozpętywałam dyskusje, gadałam głupstwa dziennikarzom, miałam piękne myśli. Nie czuli oni jednak symboliki mego życia. Tylko doktor Marek zawsze mnie zaskakiwał. Dzięki Mamie odpowiadano na moje „dzień dobry” w dzielnicy. Kłaniałam się wszystkim, bo nie rozpoznawałam twarzy. Moi pacjenci domagali się prawdy o sobie, której nie chcieli poznać. Ja też nie pragnęłam wiedzieć aż tyle. Ale sny, sny rozbudzały namiętności i dopiero poranna dawka leków trochę je wyciszała.

Ten moment, kiedy brakowało prochów, a do lekarza mogłam iść dopiero następnego dnia, wtedy chciałam się powiesić. Najczęściej wtedy.

Nie chcę konać tak długo jak Tata.

Może trzeba było odejść te dziesięć lat temu? Zostałabym autorką jednej książki. Teraz inni się na mnie wzorują. Śmierć za życia też jest jakąś wartością.

Zawsze można było przeszukać wszystkie torebki, kieszenie, meble, aż w końcu znajdowały się zachomikowane prochy. Ale była radość.

Widzisz, Filipie, muszę jeszcze raz to przerabiać, zamiast skończyć razem z Tobą. Już by nikt nie pamiętał.

Wchodzę na niebezpieczne tory rozumowania, trochę sobie pohalucynuję.

Kiedyś zapytałam pacjenta chorego na raka, czy chciałby umierać sam. Przyznał, że nigdy o tym nie myślał. Miałam ochotę mu powiedzieć, że już najwyższy czas to zrobić.

Filip musiał zgasnąć w wieku dwudziestu sześciu lat. Inaczej zabiłby drugiego człowieka. Zawsze się bałam, że kiedyś mogę użyć karate w ten sposób nawet w samoobronie. Zawsze, gdy uderzam, czynię to w sposób niemal doskonały. Jak to jest, kiedy z twojej ręki ginie człowiek? Dlatego w końcu odmówiłam posłuszeństwa w Dojo i musiałam odejść.

Cierpiałam, że to utraciłam, ale do dzisiaj pamiętam, że nie wolno uderzyć mocniej.

Odmówienie posłuszeństwa sensejowi to jak zdrada ojczyzny. Kara jest jedna - śmierć. Ale nie poczuwam się do tego, nie dlatego umieram.

Bolą mnie nerki, one też mogą stanąć.

Trudne to wszystko, ale przecież Bóg nie twierdzi, że może być fajniej. Nawet w Betlejem czy Jerozolimie nie modliłam się o przebłaganie.

Lubię, jak doktor Marek się śmieje z tego, co powiedziałam.

Już dobrze, Ogoniasty, na razie tam nie pójde. Czasami trzeba wiedzieć, kiedy milczeć. Gdybym mogła dowiedzieć się, w którym miejscu w kosmosie jestem teraz, ale do tego chyba trzeba wytrzeźwieć. Być może.

Zawsze kochałam jak straceniec. Ale nikt nie oczekiwał ode mnie takiej miłości. Potrafię jednym ciosem przebić żebra aż do serca. Nie chcę o tym pamiętać.

Poczucie odpowiedzialności w końcu mnie dopadło, ale nie przeszkodziło ćpać i chlać.

Wiele osób zna mnie z innej strony, jakby było wiele Bas. I tak jest. Nawet Bożenie nic nie mówię. Ale się modlę i to jej wystarcza, musi wystarczyć. Chce iść do nieba, do swego Michałka. I pójdzie tam, to pewne, przynajmniej w moim odczuciu.

Aż do śmierci muszę się bardziej pilnować, co - jak podpowiada umysł - jest totalną bzdurą. Ale zawsze można próbować.

Pewnego dnia wyjdę nago na ulicę.

Szkoda, że Mama musiała obserwować te wszystkie teatralne gesty i zachowania, kiedy przedawkowałam. Teraz nie ma mnie kto pilnować, więc pilnuję się sama. W końcu widać dno flaszki czy szeleszczące opakowanie po prochach.

Zawsze się potrafiłam łatwo zapętlić. Dopiero na reanimacji wracałam do życia. I podpisywałam nowy kontrakt na życie z Panem Bogiem.

Może i sięgałam dna. Być może, nie pamiętam.

Tak to nazywali czasami inni. Nie wiem, po co to określać.

Zawsze wracam. Raz, ale tylko raz, nie zdążę. Wtedy położą mnie w grobowcu z fińskiego granitu, razem z Rodzicami.

Nie przyłączę się do Filipa. Tym razem nie.

Wiem, jestem szalona. I bardzo dobrze, inaczej bym zwariowała. Może nie brzmi to zbyt logicznie, ale to mi nie przeszkadza.

Logika w moim przypadku nie bywa wiarygodna. Logika... Po co to wszystko?

Nikt mnie nie traktował poważnie po przeczytaniu tylu okropności.

Były dwie osoby, które mówiły - „pani Barbaro” albo „pani magister”. Wtedy jeszcze można było się ze mną dogadać.

Kochałam do granic wytrzymałości, do obłędu, do śmierci. Po co takie poświęcenie, kiedy za pięćdziesiąt lat nawet nie będzie twego grobu.

Bal się kończy.

Co ty, Rosiek, znowu kombinujesz? Nie umieraj jeszcze, to byłoby niehumanitarne.

A jednak nie rozumiem, dlaczego tylu ludziom zależy na tym, bym żyła. Ance na pewno nie zależy.

Wiesz, Anka, właśnie sobie doćpałam. Memu bratu też na mnie nie zależy, tak sądzę.

Martwy poeta jest zdecydowanie bardziej pociągający. Już się nie obroni, nie zaprzeczy głupocie, nie wytłumaczy.

Ale do tłumaczenia tutaj nie ma nic.

Ta strona mnie rozwała, jeszcze więcej narkotyku. Ale opiaty, prochy, woda to zdecydowanie o trzy sprawy za dużo.

Właśnie zadzwoniła Sylvia. Może po wakacjach mnie odwiedzi.

Stęskniłam się za nią, ale nie wyrwało mnie to nawet na chwilę ze stanu depresji. Wysyłała do mnie SMS - y, ale ja pozbyłam się komórki, trochę przy tym rozrabiając.

Miłość Sylvii do mnie jest taka piękna, nawet naćpana to odczułam. Sylvia wyczuła mój smutek przez telefon, nie mogłam jej jednak nic powiedzieć, obarczyć tajemnicą mego losu. Może gdy przyjedzie, coś powiem przytulając. Inaczej prawda bywa nie do uniesienia.

Bardzo duży kawałek umiera w nas po śmierci przyjaciela.

Nawet ćpun, alkoholik, chory psychicznie wciąga w orbitę swego losu wiele osób, bliskich osób.

Anka, nie pomożesz Danuśce, ale masz jeszcze szansę zostać jej przyjacielem. Pieprz te wszystkie teorie o uzależnieniach, liczy się prawdziwe uczucie, czy jeszcze potrafisz kochać swoją matkę?

Ja zdążyłam za cenę własnego życia.

Boże, jeżeli istniejesz, przyjmij moje cierpienie, zaakceptuj je i pozwól się stoczyć w otchłań. Nie cierpię za miliony, tylko ze swego powodu, takie samoudręczenie, ale to nic, niech ten los się toczy. Co z tego wyniknie, nie wiem. Nawet „jakoś” trzeba umrzeć. Trochę za bardzo boli, ale kolejny łyk alkoholu przybliży niebo. Amen.

Tato, co mam uczynić?

Za cztery dni spotkam się z panią Alicją. Chwila ulgi dla uwięzionego ducha. Kocham lato, jest to najmniej sprzyjający czas na samobójstwo.

Mama już się uspokoiła. To niewybaczalne, bym mogła w jakiś sposób Ją dręczyć. Nikt nie wie, co się teraz ze mną dzieje. Nie ma takiej potrzeby, dopiero w czwartek cokolwiek wyznam.

Kochałam Cię, Filipie. Oddałam Ci swoją rękę, złożyłam śluby, że nie opuszczę Cię aż do śmierci i dopiero teraz zrozumiałam, że do własnej śmierci.

Doktorze Marku, nie prosiłam Cię o pomoc, znasz mnie, jeszcze zaistnieje jako poetka, pisarka, jako człowiek, który wbrew otchłani potrafi innego uchronić przed samobójstwem. Filip przeczuwał swoją śmierć, ja jej zaprzeczałam aż do momentu, kiedy zamknęłam Mu oczy. Ostatnie spojrzenie było już martwe.

Ululałam się. O jeden kielonek za dużo, teraz maska trzeźwości przed Mamą.

Już raz przebiłam nożem trzewia. Ale to był inny czas w kosmosie.

Mocne postanowienie poprawy wypowiadałam zawsze przymroczone, nigdy na trzeźwo. Bo w tym wszystkim chodzi o to, że nie trzeźwiałam.

Wieczorem zasypiałam przy telewizorze. Rano trudno było się obudzić do kolejnego koszmaru. A jednak jeszcze potrafiłam się przytulać, uśmiechać. Za pół roku czeka nas pierwsza Wigilia bez Taty. Kocham pana, panie Sułku - tak wyznawałam miłość doktorowi

Markowi.

Co będzie, kiedy Mama zobaczy, że już nie ma pół butelki spirytusu? Na razie się nad tym nie zastanawiam.

Co się stanie, kiedy skończę tę książkę? Nie pytam siebie, pytam Boga.

Chcę, by mnie pochowano w dżinsach i kurtce dżinsowej. Wtedy najlepiej będę się czuła.

Nie pojmuję swego ciała, jego pragnień. Wiem, że trzeba się wykapać, odpocząć nocą, pomarzyć o kochanku, ale najczęściej zasypiam z odpowiednią dawką trucizny we krwi.

Moja kotka ma w sobie tyle życia. Nazywam ją futrzakiem albo pytani Mamę, gdzie nasze zwierzę.

Dwadzieścia lat temu przegapiłam cudzołożenie. Miałam wtedy zasady, ale teraz myślę, że trzeba było przespać się z tym facetem.

Nie jestem jeszcze w stanie psychodegradacji, co wmawiano mi w wieku szesnastu lat. Jeszcze za dużo czuję.

To tylko przewartościowanie reguł chrześcijańskiego spojrzenia na moralność. Wszyscy grzeszą. Gdy w końcu przyjaciele zapytają w twarz, powiem prawdę, że tonę. Na szczęście na razie nie pytają.

Sława, woda, brak seksu, odrętwienie, znieczulenie ciała truciznami, niemoc złapania innego oddechu, samobójstwa. Ile, ile można wytrzymać?

Co za ulga, że nie chodzę do kościoła, nie oglądam porażającego wzroku księdza proboszcza i jego potępienia.

Staczam się, doktorze Marku. Ale to nic, przecież piekło jest po to, by doskonale się bawić, tu czy tam, nie widzę specjalnej różnicy.

Moc jest ze mną. Nikt na całym świecie nie jest tak przygotowany na śmierć, jak ja w tej chwili.

A może się mylę, gdzieś na świecie są fanatycy gotowi odejść dla idei.

Religia to też pewien rodzaj ekstazy, tylko trochę zdrowszej, bo nie wyniszczającej ciała.

Bóg jest największym powiernikiem świata.

14 lipca 2002

Jestem strasznym draniem, zrobiłam świństwo doktorowi Markowi. Zapiłam psychotropę wodą, dołożyłam opiaty i zadzwoniłam do niego wieczorem. Prosił, bym przestała sobie dokładać, bym zadzwoniła na drugi dzień rano, by pogadać na trzeźwo. Nie zadzwoniłam. Bolą mnie nerki i wątroba.

Spałam dzisiaj do południa i nie mam odwagi skontaktować się z doktorem Markiem. Tonę.

To wczorajsze postępowanie wprowadziło mnie w stan głębokiej depresji i obrzydzenia do samej siebie. Kocham pana, panie Sułku! W końcu powiedziałam „dobranoc” i odłożyłam słuchawkę. Nie wiem, dlaczego tak postępuję.

Tak bardzo mnie prosił, jak prawdziwy przyjaciel. Wiem, że muszę brać psychotropę, ale teraz chyba przechodzę jakiś straszny kryzys. I znowu odrzucam pomoc. Czuję się jak szmata.

Jest to naturalna kolej rzeczy w nałogu, takie Zezwierzęcenie i brak zrozumienia uczuć przyjaciela. A przecież kocham doktora Marka. Rano wzięłam leki na chorobę i na razie niczego sobie nie dołożyłam. Świadomość mnie dobija, moja pokręcona nadwrażliwość powoduje, że mam ochotę zniszczyć ciało na rurach w łazience.

Może pragnę dojść do takiego momentu, kiedy nie ma już odwrotu, kiedy nerki przestają funkcjonować. Wyruszyć gdzieś przed siebie i skonać na leśnej polance, wtopić się w letnią trawę, zatrzymać błysk promienia słońca w źrenicy, odetchnąć głębiej i skonać.

Ogoniasty się cieszy, siedzi w fotelu i czeka, jaką decyzję podejmę. A ja zarabiam na piekło. Co ja powiem pani Alicji?

Prawdę. Boję się wyjść z domu.

Tym sposobem mogę nie zdążyć napisać tych książek. To nic, to mnie najmniej obchodzi.

Przez ostatnie dwa lata nałóg topił mnie coraz bardziej. Jeszcze trzeźwiałam, spotykałam się z przyjaciółmi, bywałam wesoła, zawsze mogłam spotkać się z doktorem Markiem, nawet zadzwonić do Warszawy.

Mamo, proszę, niech już nikt nas nie odwiedza na dłużej niż parę godzin. Jestem gotowa na wszystko. Hamulce przyzwoitości już zawodzą i mogę zdradzić się słowem, maską na twarzy, podszeptem szatana.

Nie mogę znowu uciec z domu. Mama by tego nie przeżyła.

A poza tym Moje Królestwo czeka na dopełnienie.

Nigdzie się nie wybieram, nawet do Londynu na galę, na spotkanie najwybitniejszych umysłów świata z królową angielską. Nie chcę. Żal mnie jakiś dzisiaj ścisła, może zadzwonić do doktora Marka? Boję się.

Doszłam do takiego stanu, w jakim była Marlena na dobę przed powieszeniem, aleja tego nie zrobię.

Dwa lata temu nie wytrzymałam. Ale o tym trochę później. Czuję, że tracę kontakt z sobą.

Nie mogę teraz zadzwonić do doktora Marka, właśnie sobie dołożyłam. To byłoby nie fair. Nie gada się z naćpanym człowiekiem. Najpierw się go odtruwa. Ale inaczej na razie nie potrafię.

W kuchni Mama gotuje obiad w całkowitej nieświadomości tragedii. Jestem cała poraniona, dlatego po wódzie kocham świat, po prochach obojętnieję[^] a gdy to wszystko wymieszam jak barman w drinku,\ padam na pysk bez modlitwy w sercu. Dwa razy Boga) nie zabrakło, teraz przeginam pałę.

Nawet Danuśka się w końcu odnalazła. Trzyma w kupie całą rodzinę. Nie czuję przynależności do rodziny, może przez Ankę. Zostaw już ją, Basiu, w spokoju. Niech żyje po swojemu, nawet z nienawiścią w sercu. Może gdyby żył Filip... Nie, to nie tak, gdybanie nic nie daje. Amen. Mój Koziołek jest chora. Czy umiera? Może to jej odejście przeczuwam? Jakie jest wyjście z takiej sytuacji? Jak można mnie leczyć, kiedy i tak muszę przyjmować psychotropy, ale w dawce leczniczej, a nie popijając wodą zwiększone dawki, by nie czuć nic oprócz rozpacz. Trzęsą mi się dłonie.

Do śmierci Taty bywało różnie, ale się sprężyłam i zdążyłam na trzeźwo wyznać Mu miłość.

Kiedyś ciało tak zwyczajnie nie wytrzyma. Może we śnie. To byłoby dobre, nie zasłużyłam na takie odejście. Nigdy dotąd doktor Marek tak o mnie nie walczył, sprawa musi być poważna.

Mówił do mnie po imieniu, jak do zagubionego dziecka, i to mnie ucieszyło. Postaram się wytrzymać do czwartku - z buntem w sercu, w zaprzeczeniu śmierci, nawet halucynując, nie przebiję, jak kiedyś, trzewi nożem. Byłam wtedy bardzo chora, ale przynajmniej wierzyłam, że jestem kochana. Gdy przekroczyłam pewien wiek, stałam się winna i odpowiedzialna. Dobrzy ludzie wściekają się na mnie za „Schizofreniczkę”, „Pamiętnik”, „Kokainę”, za tę książkę nie wybaczą już niczego. Ale to nic, teraz obchodzi mnie, w jaki sposób odezwać się do pani Alicji czy doktora Marka.

Chyba pracuję na zespół psychoorganiczny. Co ja robię, kiedy nie pamiętam?

Bardzo interesujące pytanie, pani Barbaro.

Drogę powrotną do domu mam na razie opanowaną. Nawet kiedyś, gdy wyszłam ze śpiączki, sama trafiłam ze szpitala. Bezbłędnie, jadąc w pizamie tramwajem. Na szczęście

było ciepło.

Dlaczego byłam w śpiączce - nawet lekarze nie potrafili tego stwierdzić.

Ja wiedziałam, ale nigdy się do tego nie przyznam, przynajmniej w tej książce.

Piszę bardzo dużo listów do różnych ludzi, ale najczęściej ich nie wysyłam. To bezpieczne. Dla mnie samej.

Zadzwoiłam do Bożenki. Próbuje coś zrobić z pokojem śp. Michałka, chyba trochę za wcześnie. Dwa lata to za wcześnie? Dopiero za dwa lata odpowiem sobie na to pytanie.

Byłam wczoraj u Taty na cmentarzu. Bardzo długo gadałam i gadałam, ale się nie modliłam. Anioł nie przyszedł mi pomóc.

Nie rozumiem tego, co się stało, zupełnie nie pojmuję.

Zaraz sobie dołożę jakiejś mikstury i zapomnę na kilka godzin o bólu.

A jednak trochę szkoda mego umysłu, zwłaszcza teraz, gdy straciłam duszę.

Ryszarda coś gnębi. Nawet domyślałam się co, ale nie mam prawa o tym pisać. Ryszard jest przyjacielem i domownikiem.

Moi drodzy, wiem, ale nie powiem, dlaczego uzależniony pragnie się zatruć do końca. Kiedyś powiem. Na łożu śmierci. Jeżeli tego dożyję.

sierpień 2002

Jestem trzeźwa.

Wczoraj długo trzeźwiałam, siedząc w wannie i długo się modliłam, by Bóg zabrał chociaż trochę tego cierpienia, które zmusza mnie do ucieczki w nałogi. I co? Poszłam spać o czwartej nad ranem i obudziłam się w południe wypoczęta. Oczywiście miałam senne koszmary, ale chyba chciałabym od razu za dużo. Dzień zaczęłam od modlitwy, nie od prochów. To jest cykl. Coś w rodzaju rytuału. Jak to opisać?

Najpierw zaczyna cię boleć dusza i cierpienie przesłania inne ważne sprawy w życiu. Potem zaczynasz żyć w nierealnym świecie, biorąc prochy od psychiatry, to przestaje pomagać, nocne koszmary bywają nie do wytrzymania, aż stają się jawą. Następnie dokładasz prochy lub jakiś narkotyk, idziesz do knajpy, do której bezbłędnie znasz drogę. Przyjazny świat barmanów, uśmiechy na twarzach innych ludzi dają już po pierwszym drinku poczucie bezpieczeństwa i akceptacji. A później następuje przedsionek piekła - musisz wrócić do domu. Włączasz telewizor i szukasz zamaskowanych przed rodziną prochów, wody, narkotyków. Krąg powoli się zamyka - popełniasz samobójstwo.

Oczywiście różnym osobom udaje się to w różny sposób. Mnie reanimowano średnio raz w roku. Po zmartwychwstaniu czujesz nowe siły, masz solidne postanowienia, przysięgasz na wszystko, w co wierzysz, że to był ostatni raz.

Wracasz do domu z siłą Herkulesa i zaczynasz odnawiać kontakty z ludźmi, by po jakimś czasie zorientować się, że inni są niepotrzebni, pijesz do lustra i prosisz Boga o koniec wszystkiego. Jesteś w głębokiej depresji.

Nie wiem, czy można przerwać ten zaklęty krąg, ale zawsze jeszcze można walczyć. Masz siedemdziesiąt dwie godziny życia przed sobą, gdy rozpadnie się wątroba. Możesz także stracić wzrok lub dostać zbawiennej delirki, po której znowu lądujesz w szpitalu i znowu inni podejmują decyzje za ciebie.

W narkomanii opiatowej wszystko to dzieje się czterysta razy szybciej. A wtedy możesz jeszcze pomodlić się o godną śmierć.

Jesteśmy dziećmi bożymi, ale nie usprawiedliwia to chęci bycia Bogiem dla samego siebie.

Czy uda mi się stamtąd powrócić?

Bardzo tego pragnę, ale tak samo pragnę umrzeć. Kompletna paranoja. Może już nigdy się nie dowiem, co mnie zmuszało do ucieczki. Przez całe życie uciekałam przed odpowiedzialnością. Teraz, kiedy zostałyśmy z Mamą same, czuję, że coś się zmienia, troszczę się o Nią, chociaż kompletnie nie wiem, jak to się robi. To Ona przez całe życie się mną opiekowała.

Czas na ważne życiowe decyzje.

Czasami czuję się jak świnia, tak się niszcząc. Nie chcę być w takim stanie, by modlić się o to, aby już nikt mnie o nic nie prosił. Dopada mnie wtedy Ogoniasty, zmusza do milczenia, nakłania do odejścia, burząc moją wiarę w Boga.

W życiu trzeba w coś wierzyć i przychodzi taki moment, że stwierdzenie, że jakoś to będzie - już nie wystarcza. Trzeba spojrzeć w lustro. Na trzeźwo. Z wielką determinacją. Z wiarą w Boga. Ale trzeba to zrobić samemu.

Trzeba być odpowiedzialnym, co w moim przypadku jest prawie niemożliwe, ale zawsze można pomodlić się albo zadzwonić do przyjaciela, co też zrobiłam. Bożena prosiła, bym przyjęła namaszczenie chorych. Uczyniłam to i wsłuchałam się w modlitwę.

Powiedziałam przyjacielowi, że tonę. Tak, jak tego nie zrobiłam jedenaście lat temu.

I doszło do ogromnej tragedii.

Piszę to zupełnie trzeźwa i czuję w sobie wycie demona.

Pomodłę się o spokój duszy Tary, bo On już o wszystkim wie i musi Mu tam być bardzo smutno. Przykro mi, Tato, ale jeszcze trochę powalczę na trzeźwo.

No, wyrzuciłam to w końcu z siebie. Teraz czas na dalszą prawdę. Pani Alicja wyjechała na wczasy sama sobie radzić z wyciem i gryzieniem ścian.

Trudno, wiem, że jeszcze siebie oszukuję, czuję się taka zagubiona.

Chyba zaraz popadnę w ekstazę. Tysiące emocji, a jedna inna od drugiej. Tysiące myśli, jedna sprzeczna z drugą. Jak to wytrzymać? I ten lęk przed życiem.

Nie czuję jeszcze wokół siebie Anioła Śmierci. Był od roku przy Tacie. Na razie inne anioły walczą z Ogoniastym. Z kim lub z czym ja tak walczę? Dobre pytanie.

Chyba przestałam walczyć z Bogiem. Czy to w moim przypadku możliwe? Walczyłam o miłość Boga, spalałam się, ale to nie było konieczne, był zawsze przy mnie, przy pierwszym strzale hery w żyłę, przy gwałcie, przy agonii Taty, na torach tramwajowych, to ja nie umiałam Go poczuć, tak skamieniałam.

Rodzice mówili mi o Bogu, ale ja nie słuchałam.

Nie słuchałam, co inni mają do powiedzenia. Nie znaczy to, że od razu stałam się innym człowiekiem, ale może w końcu wsłucham się także w swoje wnętrze, które zupełnie oszalało. Może zrozumieć, dlaczego inni tak mnie potrzebują, czy jeszcze mam komuś coś do ofiarowania. Ale jeszcze nie teraz, czas skończyć z trucizną i cofnąć się o dwa lata, tylko to takie trudne i bolesne. Jak wszystko w moim życiu.

Ale teraz, proszę, nie chcę o niczym wiedzieć.

Mam przeczucie, że do końca życia będę obłąkana, ale pewne sprawy można załatwiać inaczej. Wyrzec się szaleństwa to tak, jakby złożyć Panu Bogu ofiarę z siebie. Nie jestem na to gotowa. Coś za bardzo się rozkleiłam. To nic, tak dawno nie płakałam, to było potrzebne.

Czy zamknęłam krąg? Co dalej?

Czy umarłam i zmartwychwstałam? Nie wiem, po prostu nie wiem. Sądzę, że nie założę rodziny, nie będę miała dzieci, to by mnie od razu spaliło. Wolę całkowitą samotność.

Nie mam koncepcji na następne dziesięć lat życia, jeżeli jeszcze w ogóle będę żyła. Zastanawiam się.

Jest cudowne lato, chodzę ulicami miasta i gadam z sobą, w tramwaju czy autobusie. Kontroluję to.

Tworzę różne scenariusze, ale nie jestem w stanie uratować się przed tym co nieuchronne, z końcem wszystkiego na ziemi.

Słowa - symbole, słowa - znaki, słowa - wskazówki.

Zawsze mnie intrygowały, zawsze poruszały serce, po pijanemu lub na trzeźwo.

Ze słów powstają zdania, w których można wyrazić uczucie lub przekląć dzień, w którym się urodziłam.

Już nie podkradam Mamie spirytusu. Ach, co to za drink. Cicho, Ogoniasty, spirytus nie istnieje.

To nieważne, że Mama zaraz idzie do kościoła, znowu ukryła przede mną spirytus, ale i tak go odnalazłam. Jednak nic z tego.

Są jeszcze rury w łazience, ale powiedziałam pani Alicji, że na razie się nie powieszę.

Sądzę, że Mama czasami rozpoznaje, że jest coś nie tak, tylko boi się mi o tym powiedzieć. Ryszard poznaje od razu i prosi, bym się dalej nie alkoholizowała.

Dlaczego tak mocno pragnę zniszczyć ciało, dlaczego go nie akceptuję, dlaczego wydaje mi się, że umysł pracuje poza ciałem, dlaczego nie dbam o ciało, dobrze, że się jeszcze myję.

W apatii wolę siedzieć w wannie. Albo w ogóle nie wychodzić z łóżka, dobrze, że jeszcze mam jakieś obowiązki. Jeszcze. I akceptuję to.

Bycie nietrzeźwą zaciera barwy życia, doprowadza do powolnej agonii i stanu obrzydzenia do siebie.

Kiedy pracowałam na stażu z alkoholikami, miałam przekrój wszystkiego, co tylko może się dziać, a jednak, jak każdy nałogowiec, nie odnoszę tego do siebie.

Nowe zawsze jest niepewne. Samoświadomość też bywa upierdliwa.

Narcyzm duchowy - czy coś takiego istnieje, czy dopiero ja to odkryłam?

Chociaż w depresji tak trudno o jakąkolwiek aktywność.

Kiedyś pomagałam innym, zwłaszcza małodatom, teraz wszystkich odstawiłam od piersi.

Zrobiłam siusiu i zamknęłam łazienkę, tak jest bezpieczniej.

Jeżeli pokocham, to zawsze jest to miłość potworna.

Klucz od łazienki też schowałam. Chyba na dzisiaj wystarczy.

Myślę, że dosyć tego masochizmu, także duchowego. Amen.

W snach także krążę wokół śmierci. Dzisiaj w nocy miałam być spalona i było to samopodpalenie, ale rodzice prosili, bym tego nie robiła.

Drugi sen - byłam bardzo chora. Jakiś płyn wylewał się z kręgow kręgosłupa. Operację mogłam przejść jedynie w Los Angeles, inaczej miałam przed sobą tylko rok życia. I zobaczyłam moje gnijące ciało na łożu śmierci.

Los Angeles - Miasto Aniołów. Niesamowite. Ostatnio gadam z aniołami. Nawet w snach są sprzeczności w myśleniu i uczuciach. Pierwszy raz dziękowałam, że mnie odratowano, przynajmniej we śnie. Naprawdę chciałam żyć?

Może znowu zamknęłam krąg. Rok życia, chęć życia. Aż się boję wziąć prochy, by tego stanu nie zniszczyć. Kim jestem? Gdzie jestem? Tam gdzie każdy człowiek musi odpowiedzieć na pytania od Boga.

Mam się nie wyzbywać własnego szaleństwa, tak powiedział doktor Marek, gdy wczoraj, nieco pobudzona, gadałam z nim przez telefon. Ma rację, ale to nie powód, by się od razu zabijać. Odetchnęłam z ulgą, poczułam się bezpieczniej.

Nikt mi nie odbierze szaleństwa, żadne wody, prochy, narkotyki, ja, ja sama. Będę pisała dalej, do końca życia. Na tego konia postawiłam dość dawno, inny koń to życie, ale jeszcze nic nie obstawiam.

Umieram na miłość. Trucizna draży mnie jak oszalały tajfun. Mama musi wytrzymać ze mną wszelkie zmiany nastroju przez cały dzień. Mam dziwne poczucie, że ponownie się mną opiekuje. Nikt inny by ze mną nie wytrzymał.

Kiedy piszę, to właśnie ona zajmuje się całym domem, rano robi śniadanie, kupuje owoce, które lubię. I jest jeszcze sałatka. Jej nie mogę się oprzeć nawet wtedy, gdy głoduję. To mój najslabszy punkt w walce z demonami.

Tak trudno włożyć list do koperty, zaadresować i wrzucić do skrzynki. Wiem, że te osoby na niego czekają, ale jak na razie jest to czynność niemożliwa do spełnienia. Łatwiej mi iść do knajpy na drinka. Pewne czynności są niezrozumiałe i nie do wykonania w nałogu.

Ryszard czyści w kuchni łyżeczki. Rano kupiłam dla nas lody. Po śmierci Taty to jest coś.

Tak bardzo za Nim tęsknię. Coś, Panie Boże, jest nie tak w tym życiu. A może odwrotnie, przecież życie jest chwilą, tylko czasami tego nie zauważamy. Tyle razy otarłam się o własną śmierć, że mogłabym darować sobie ciąg dalszy. Jak każdy nałogowiec pracuję na piekło.

Ale to nic, trzeba tylko przełamać lęk. No właśnie, jak to zrobić.

- Nie bój się - mówi anioł przysłany przez Boga. On mnie zna i tak naprawdę czeka tylko na gest z mojej strony.

Wczoraj go uczyniłam i poczułam życie.

W nocy w snach zabijam, morduję całe narody, by rano odetchnąć z ulgą. Dlatego już od rana chcę się napić.

Ogoniasty dyplomatycznie milczy.

Trochę regresu, Basiu. Doktor Marek przypomniał, że już w szesnastym roku życia mogłam umrzeć, a jednak przetrwałam.

Czasami bardzo żałuję, że wtedy przeżyłam. Ale czasu nie da się cofnąć.

I dobrze. Bo wtedy mogłoby być jeszcze gorzej. Trzeba w końcu wybaczyć, sobie także.

Mój brat boi się, że znowu coś wykombinuję, ale też boi się ze mną porozmawiać, chyba miał trochę przykrości z powodu moich książek, ale to musi w sobie sam przerobić. Woli milczenie i kłamstwo.

Zupełnie nie czuję mego brata. Zamaskował się przede mną.

Boi się nawet przytulenia. Na razie nic na to nie poradzę. Znow może się obrazić i milczeć jak Mirka. Mirka nadal się na mnie obraża. Po wieszaniu się w Tworkach, po powrocie do domu, strasznie na mnie nakrzyczała. To chyba był lęk. Są osoby, które się boją, może nie mnie samej, ale tego, co mogę uczynić.

Mirka musiała odreagować. Ale dlaczego teraz się boi?

Jest wielką indywidualnością. Może przyjedzie na mój pogrzeb, chociaż tego nie oczekuję. Sama nie wiem dlaczego, może to ten dół.

Wielkie dramaty zwykle rozgrywają się w małych mieszkaniach i nawet dobrzy sąsiedzi tego nie zauważają lub milczą. Czasami chciałam być niewidzialna i wchodzić do takich domów, ale te domy przynoszą do mnie moi pacjenci. Nie potrafię już tego udźwignąć i biorę dodatkowe tabletki lub milczę. Po czterdziestce tak dziwnie zmienia się życie. Za duży bagaż niosłam przez te lata. Zamiast życia i miłości wybrałam wodę i prochy. Inaczej już nie potrafiłam.

W snach termin mojej śmierci oddalił się o kilka miesięcy.

Stale widzę cierpiących ludzi. W szpitalach, w których byłam, widziałam tyle śmierci, lęku, agonii, smutku i błagań do Boga.

Można zwątpić.

Wiem, że na mojej ulicy jestem jak jajco na patelni, nawet nie miałam świadomości, że tak o mnie plotkują.

Zabawne, wydaje się, że musieli czytać moje książki, jeżeli wzbudzam aż takie zainteresowanie. Przecież oni czytają tylko gazety z programem TV. A jednak wiedzą co nieco i dorabiają różne scenariusze.

Plotka niszczy wszystko i wszystkich na swojej drodze.

Nawet renty mi zazdroszczą. Paranoja. Dobrze, że nie wiem więcej.

Można być uznanym za niewinnego i oczyścić się z zarzutów, ale smród ciągnie się za tobą przez całe życie.

Czasami przypominam sobie, że kiedyś wkładałam w pracy biały fartuch i szłam na oddział, na którym pracowałam, pogadać z moimi pacjentami.

Trochę mi tego brakuje.

Teraz mogłabym kogoś tylko skrzywdzić, dobrze, że o tym wiem. Boże, dlaczego właśnie tak? Aniołom to jakoś wychodzi.

Doktor Marek jest na urlopie, T.Z. zagadkowo milczy, pani Alicja odpoczywa, Mama ma dosyć moich zmian nastroju, nie wiem, co gorsze - milczenie czy mania. Boi się jednego i drugiego, a ja nie potrafię wypośrodkować.

Zostałam z Bogiem, Ogoniastym i aniołami. To też coś. Amen.

Tata mnie zawołał przed utratą przytomności. Kogo ja zawołam?

Czy po mojej śmierci Bóg rozłączy mnie z Ogoniastym?

Czy otchłań, którą widziałam, pochłonie mnie całkowicie?

Za dużo pytań, znowu się nakręcę i skończy się to prochami. Ale nie potrafię przerwać pisania, nie mogę się temu oprzeć, to też jakiś rodzaj nałogu, tyle że trochę mniej szkodliwy.

Kochanek na jedną noc - obiecałaś, Baśka, że w tej książce nie będziesz świntuszyć.

Kiedyś nikt nie był w stanie mi pomóc. Tylko doktor Marek trwał przy mnie wiernie, odcinał pętle, prochował, czasami się złościł, czasami podał placebo (wybaczyłam mu to), ale on po prostu dbał o moją wątrobę. Teraz nikt nie ma nade mną kontroli.

To może być niebezpieczne, dobrze, że czasami miewam poczucie winy i trochę odpowiedzialności. Sumienie też jeszcze posiadam. Albo Bóg wybaczy, że dla Jej dobra okłamuję Mamę, albo zacznę zdrowieć. To ostatnie jest prawie niemożliwe. Szaleństwo mam we krwi, od innych rzeczy uzależniłam się sama z pomocą szatana.

Wydzwaniam tu i ówdzie, pomiędzy pisaniem i popełnianiem kolejnego samobójstwa. Najbardziej torturuję siebie. Bywa. Każde zalanie prochów wodą może być ostatnie.

Kiedyś, kiedy pracowałam na neurologii, przywieziono alkoholika w stanie padaczkowym. Kiedy odzyskał przytomność, powiedziałam mu, że więcej nie może wypić, a on na to, że mogłabym zabronić mu oddychać. Powiedziałam szefowi, że klient już wszystko wie. To niesamowite, ale mam teraz jakieś poczucie wolności.

Niezbyt lubię swój komputer, wkurzam się na to, co o mnie wypisują w internecie. Ale internet to kolejny nałóg.

No właśnie. Internet, że też wcześniej o tym nie pomyślałam, przecież tyle się tam o mnie można dowiedzieć.

Zawsze piszę w takim napięciu emocjonalnym, jakbym ratowała samobójcę, i trzeba to odreagować. Najlepiej zapisać.

Mam takie niejasne przeczucie, że dzięki tej książce znowu w coś wdeptuję.

Moc jest ze mną i wszystkimi obłąkanymi poetami.

Piszę przy grającym radiu, kiedyś musiała być kompletna cisza. Nie pamiętam, kiedy to się zmieniło.

Drogi Czytelniku, obiecuję, że po śmierci będę nawiedzać oddział psychiatryczny i straszyć, w dzień także.

Liczę się z uczuciami Mamy i to mnie powstrzymuje od ostatecznej samozagłady. Ona chyba o tym wie. Dlatego chowa przede mną spirytus.

Nie piję dużych ilości alkoholu, przetestowałam prochy i narkotyki na sobie tak, by wytrzeźwieć podczas drogi powrotnej do domu. Dlatego chlam na raty, to też jakiś sposób, choć nie wiem, do czego to prowadzi.

Czasami mój organizm mnie jeszcze zaskakuje. Dwa lata temu straciłam nad nim całkowitą kontrolę.

Lubię bajki, filmy fantastyczne o wojnach w kosmosie, wszystko co jest fantazją. Lubię zaglądać do piekła, a czasami bywam w tunelu do nieba. Rzeczywistość za bardzo mnie osacza, męczy, prowokuje do złych emocji, zabija ciało, kaleczy duszę, chcę żyć jedynie w bajce. Ale w tej bajce nie ma już Taty. Muszę na chwilę stamtąd powrócić, by nie przegapić Mamy. Potem niech się dzieje. Aż sama się tego boję.

Jak ja przez te czterdzieści lat funkcjonowałam w tylu światach jednocześnie?

Kiedyś, jeszcze na oddziale, doktor Agnieszka powiedziała mi, że jestem niewiarygodna, tym samym potwierdziła, że nie można jej ufać jako psychiatrze. Przeprowadziłam test. Pocałowałam doktor Agnieszkę w rękę, nie cofnęła się, nie zachnęła, uznała to za należne jej osobie. Test się udał. Doktor Agnieszka jest po prostu głupia.

Wiem trochę więcej na temat psychiatrii, a to jest nie do zniesienia. Na głupotę jeszcze nie ma lekarstwa. I dobrze.

Pacjent psycholog z dużym doświadczeniem wszelkich patologii jest dla takich ludzi ogromnym zagrożeniem. Najlepiej wyeliminować przeciwnika.

Doktor Marek ma klasę, ale on jest jedyny. A może to był kolejny zły dzień, jakiś koszmar senny. Musiałam stamtąd odejść, wszyscy mieliśmy siebie dosyć, tak sędzę, może się mylę. Pani Alicjo, gdzie Pani jest?

Trzeźwiejąc, jak zwykle w wannie, mam ciekawe pomysły na życie, ale gdy woda się już wystudzi, spływają do kanalizacji.

Modlę się, walczę z demonami, płaczę, gryzę ściany, piszę, popadam w regres, huśtając się na łóżku, przeklinam, znowu się modlę, trzeźwieję... Kto to wszystko przetrzyma, czy każda książka to odkupienie win?

Kiedy pisałam „Kokainę”, wierzyłam podświadomie, że nie doczekam jej druku. Stało się inaczej, ale wtedy sądziłam, że cały świat mnie przeklnie i będę gotowa na bycie szatanem.

Bóg już tyle razy dawał mi kolejną szansę, a ja z niej kpiłam.

Widocznie to jeszcze nie moje pięć minut.

Rodzina nawet nie wierzyła, że przeszłam gruźlicę płuc, a chemia wyniszczyła mi uzębienie.

Nie gniewam się na nich, mnie samej trudno się w tym połapać.

Lecz ta najintymniejsza część duszy schizofrenika nigdy nie została poznana przez normalnych. Poznałam ją, ale zabiorę to do grobu. To taka umowa wszystkich schizofreników. Prawie jak tajemnica zmartwychwstania. Może bluźnię.

Dinozaury też wyginęły, schizofreników uwolniono od kajdan, by zniewolić ich psychotropowym kaftanem. Osobiście wolę wyć.

Teraz krzyk mam zaklinowany na poziomie krtani, uwalnia się tylko w delirce, ale to już ostateczna rozgrywka o życie.

Kiedy krzyczę, czuję się wyzwolona.

To psychoza daje taki power, do tego prochy i wóda, czasami jeszcze jakiś narkotyk, maszyna do pisania, bezsenne noce, głęboki smutek, że nie ma miłości, i radość, kiedy patrzę prosto w słońce.

Chyba musiałam zostać sama, by ruszyć dalej z książką.

Spirytus znowu jest w innym miejscu, ale mnie to teraz nie interesuje. Nie gada się z wariatem, izoluje się go.

Sarah Kane zdążyła się powiesić, zanim ją obezwładniono.

Przez te jedenaście ostatnich lat tyle się wydarzyło, że aż się gubiłam, nie rozróżniałam złych ludzi od dobrych, by w końcu wyrzec się życia w sławie.

Jestem jak wrzód na dupie.

Tak zwana izolacja społeczna w końcu mnie trochę uspokoiła, ale nadal dzwonię tu i ówdzie.

Śniły mi się dzieci, dzieci - szkielety, kości obciążone skórą. Dzieci wracały do życia, gdy zaczęłam się nimi opiekować. Mówiły, chodziły, uczyłam je wielu rzeczy, a one tę wiedzę przekazywały dorosłym. W końcu je zostawiłam, mogły już same obronić się przed światem. Był to horror, ale nie bałam się.

Czy w piekle jest muzyka? Dzień zaczynam od muzyki. Czasami modłę się przy muzyce, to chyba nie grzech. Życie bez muzyki to największa tortura. I bez słońca...

Dzisiaj na przystanku tramwajowym widziałam zniszczonego alkoholika wraz z może dziesięcioletnią dziewczynką. Przyjechali sprzedać złom, by mieć na piwo. Facet był już nieźle narąbany, a dziewczynka się nim opiekowała, pomagała mu wsiąść do tramwaju, wyrzuciła peta, tłumacząc, że w tramwaju się nie pali. Za kilka minut widziałam ich przed

delikatesami - on popijał piwo, siedząc na trawie, a dziewczynka kupiła sobie słodycze. Ona jeszcze nie wie, jaką krzywdę wyrządza jej tata. Jeszcze się nim opiekuje.

Miałam ochotę wezwać policję, opiekę społeczną, cokolwiek, ale zrozumiałam, że zburzyłabym jej świat. Zabrano by ją do domu dziecka, bez taty.

Sama przekładam życie na język literacki, inaczej bym tego nie wytrzymała. Okazało się, że wielkie dramaty rozgrywają się nie tylko w małych mieszkaniach, zdarzają się także na ulicy. Ja też kiedyś leżałam na tych cholernych torach tramwajowych.

Melina to dla takiej dziewczynki prawdziwy dom. Ja zawsze wracałam do domu, do Mego Królestwa, nawet wtedy gdy najbardziej się tego bałam.

Czasami tylko mam ochotę wyjść nago na ulicę. Doktor Marek mówi, że nic takiego by się nie stało.

Co jeszcze nie jest takie najgorsze, na studiach, po wiosennym deszczu zawsze miałam ochotę wytapiać się w kałuży, wyczochrać w błocie i prawie byłam na to gotowa, tak przy ludziach, ale się powstrzymałam. Niestety, rozum brał górę.

Mnie Tata darował cały świat. I lekcję modlitwy. Próbuję pogadać z Mamą, ale nie może już być moim powiernikiem, nie wytrzymuje tego emocjonalnie i zawsze zmienia temat.

Jesteś kretynką, Baśka. Wyhamuj. Pisz, a Nią się tylko opiekuj, bez poruszania drażliwych tematów.

Znowu się nakręciłam, piszę od rana.

Spytałam tylko, czy kiedyś miała poczucie winy. Nie miała. To bardzo silna kobieta. Dzwonią na Anioł Pański.

Powiesiłam misia pandę od doktora Marka.

Ogoniasty był przy mnie, kiedy kupowałam flaszkę... Skubany, podchodzi mnie w

trudnych chwilach, kiedy słabnie modlitwa pisania na maszynie. I znowu walka z demonami...

Chociaż niekoniecznie. To tylko tortura wyrzekania się zła.

Przez dziesięć ostatnich lat żyłam jak twórca, pacjent, idol młodzieży, postać kontrowersyjna dla dziennikarzy.

Całkowity zakaz pracy. We wszelkich zawodach. Choroba na obłąd daje dużo wrażeń, myśli i czynów, które najczęściej są niezrozumiane przez innych. Ja zaś nie pojmuję życia normalnych. Jesteśmy kwita.

Chyba się zakochałam, na Nocy Petów w Krakowie, i to zupełnie na trzeźwo. Ale kocham może zbyt retorycznie. Mam pecha, znowu żonaty facet z dziećmi. Ale marzeń nikt nie zabroni.

Napisano o mojej twórczości już kilka prac magisterskich. Nie wiem dlaczego, ale faceci na początku pytają, czy naprawdę byłam zgwałcona.

Pieprzył mnie około dwóch godzin. Później chciał udusić. Nie wiem, dlaczego wywalczyłam życie i w jaki sposób to uczyniłam. Później zostało tylko prochowanie się.

To wraca, średnio jeden sen na tydzień, ze wszystkimi szczegółami.

Moje drzewo to cień.

Wtedy nikomu o tym nie mówiłam, za bardzo bolało, aż się przeniosło na XXI wiek.

Bardzo mi brakuje treningów karate. Mam ochotę włożyć kimono, wejść do Dojo i strzelić niewinnego faceta w mordę.

Każda książka była wydarzeniem, ludzie pytali, a ja odpowiadałam. Nikt nie zauważał obłądki. Doświadczony psychiatra wiedział od razu, ale nie rodzina.

W końcu Mama zrozumiała, że muszę chodzić do szpitala.

A doktor Marek był moją muzą, jest nią nadal.

Wkurwia mnie, kiedy krytycy mówią, że to już klasyka. Ja zawsze mam szesnaście lat.

W szpitalu też piłam, moi przyjaciele są niezawodni, miałam flaszkę na życzenie. Ładowano we mnie ogromne ilości prochów. W delirce dostawałam zastrzyki co pół godziny, ale nie pomagały, jak później opowiadali lekarze.

Teraz sam doktor Marek namawia mnie do brania prochów, oczywiście w dawkach leczniczych. Bo trzeba trochę oszukać Pana Boga, by tak nie cierpieć.

Jestem cholernie uzależniona.

Pani Alicja też woli prochy zamiast wieszania się.

Kiedy przestawałam zupełnie kontaktować, leczył mnie normalnie jak każdego psychologa, ale depresja była zawsze najgorsza, chyba wszyscy jej się bali.

Na wolności chodziłam po leki do dr L.W., do przychodni psychiatrycznej. Był to zawsze trudny moment, koszarne ilości pacjentów, poczekalnia pełna wygasłych schizofreników. Aż przestałam tam chodzić. Prochy załatwiałam w inny sposób.

Chcę posłuchać moich terapeutów i przyjaciół, obiecać, że nie będę chłłała i dokładała prochów. Pragnę im to wszystko ofiarować.

A przede wszystkim sobie. Gdybym tak mogła spać te kilka godzin, bez majaczeń i koszmarów. O to najbardziej się modłę.

We śnie przyszedł Tata, czy On będzie moim przewodnikiem Tam? Bo bez przewodnika się odchodzi. Sama tego doznałam. Po prostu nikt po mnie nie wyszedł, nie wziął za rękę. Długo miałam o to żal do Pana Boga.

Moja wyobraźnia jest nie do opanowania. Nie do ogarnięcia. I o to chodzi. Właśnie teraz się rozplrywam i czas odejść od maszyny do pisania.

Moja kotka choruje na depresję, ale w domu czuje się całkowicie bezpieczna. Zazdroszczę jej tego. Jest moją przyjaciółką w chorobie. Jeżeli nie potrafię kochać ludzi, ją kocham na pewno.

Mam starszego brata, jest nim Ryszard. Kupuję mu ulubione soczki, ciasto, lody. Tak po prostu. Szkoda, że mój rodzony brat ode mnie odszedł. Nie rozumie mnie, ale wystarczy, by mnie kochał, a nie bał się. Przez te wszystkie lata miałam mieszane uczucia wobec niego. A teraz czuję, że kocham go takim, jaki jest. Tylko że nigdy mnie nie odwiedził w szpitalu.

Wiem, że wielu ludzi miało gorsze życie, na przykład mój Tata, wywieziony jako dziecko na Syberię, przeżył horror, ale się nie poddał i wrócił do kraju. Tę moc mnie przekazał. Dzięki, Tato.

W gułagu była epidemia tyfusu, Tatę uznano za martwego i rzucono na stertę trupów. Na mrozie ocknął się i wołał o pomoc. Usłyszano Go i zabrano z powrotem do baraku. Tato, jak to przetrzymałeś? Kim jesteś, Boże, Tata na Syberii tak strasznie głodował po to, by umrzeć śmiercią głodową. Co to znaczy? Płaczę nad Jego losem, co tam mój spirytus i prochy.

Znowu nie wytrzymałam i powiedziałam coś Mamie.

Stwierdziła, że lepiej nie mówić. Wiesz to, idiotko, więc dlaczego się szarpiesz? To okrutne, kiedy nie można rozmawiać z matką. Już nie ten czas. Ale czy w ogóle był taki czas?

Za dwadzieścia trzy dni spotkam się z panią Alicją. Może wcześniej. Nie pamiętam, który dzisiaj jest.

Funkcjonuję na ostatecznych i skrajnych emocjach, muszę to wyciszyć, inaczej sen o rurach w łazience się spełni. Nie, nigdy. Obiecałaś nie zachlać, nie prochować się, nie wieszać. Ale jak to przetrzymać? Boże, wsłuchaj się w moje wołanie o pomoc, czy za wiele pragnę?

Nazywam się Barbara Rosiek i jestem kompletnie popierdolona.

Gdy ktoś wchodzi do Mego Królestwa, tracę kontakt z otoczeniem, nawet tutaj.

Później wracam do rzeczywistości (co to jest?) i piszę książki, które wstrząsają niektórymi ludźmi. Zwłaszcza „Pamiętnik narkomanki”.

Różni ludzie proszą mnie o spotkanie, ale ja się tego boję, bo wydaje się, że już tu nie powrócę.

Wczoraj miałam spotkanie, niestety, po dwudziestu minutach byłam niezdolna do rozmowy. Zgodziłam się spotkać z człowiekiem z krwi i kości, przypłaciłam to różnymi emocjami. Teraz już wiem, że nikt tutaj nie może przyjść.

Kompletna paranoja. Wystarcza lustro, przez które nie mogę się przebić, ale moi fani tego nie rozumieją dla nich muszę być stale dyspozycyjna.

Więcej tego nie zniosę.

W każdej chwili mogę jedynie być narąbana. To jest teraz moje życie, jestem pod stałą opieką psychiatry.

Jedyną nowością jest to, że już nie chodzę do szpitala. Czasami gdzieś telefonuję, ale telefon to też pepowina.

Psychotropę mam legalnie, leczę się. Ale czasami przestaję to kontrolować.

Znowu przechodzę jakąś apokalipsę w sobie. Dzwoniłam kilka razy do Telefonu Zaufania, ale nie pamiętam, kim byłam i co mówiłam, wieszając się na słuchawce, mogłam przetrzymać rury w łazience. Przepraszam, ale prawie niczego nie pamiętam.

Już nie będę dzwoniła, za to się dzisiaj pomodliłam za cały Telefon Zaufania.

Przypomniałam sobie modlitwę.

Wczoraj straciłam kontakt z otoczeniem. Gdzie są granice szaleństwa? Na rurze, z nożem wbitym w brzuch, czuję, że tracę kontrolę nad tym tekstem.

Gdy siedzę przy maszynie i piszę, widzę żal w Jego oczach, kiedy odmówiłam pójścia

z Nim na spacer. Spytał mnie, czy jestem naćpana, byłam tylko po lekach, ale to wystarczy, by lewitować. Mamy się spotkać za rok. Trzymam Go za słowo.

A więc muszę żyć do trzeciego sierpnia 2003 roku. Obiecałam, że tu będę. Serce tego nie wytrzymuje, zawał serca już miałam. A przecież za rok też będzie cudne lato, kiedy słońce parzy duszę.

On jeszcze wypiera się Boga. Sądzę, że gdy mu przejdzie bunt, uklęknie pod krzyżem.

Alkohol już nie poprawia nastroju, a jeżeli tak, to trzeba wypić trochę więcej niż zwykle.

Kiedyś pijałam gin z tonikiem, później koniak z coca - colą, teraz spiryt z sokiem pomarańczowym.

Chyba że dotrę do knajpy. Ale nie mogę tak po prostu wyjść z domu. Muszę zapewnić Mamie lepsze samopoczucie i przekonać Ją, że wrócę do domu.

Dlaczego inni twórcy tak bardzo pragną być sławni? Ja udzieliłam paru wywiadów, ale teraz dziennikarz to mój największy wróg. Nikt nie wie, ile dostaję listów i przeróżnych dziwnych telefonów. Płacę za to, co uczyniłam swoimi książkami.

Teraz muszę mówić - nie po to, by ratować samą siebie. Po prostu tego nie wytrzymuję.

Czuję, że zaklęty krąg jest znowu rozpaprany, nie wiem, na jakim etapie jestem. Muszę się wyciszyć.

Nauczyłam się odmawiać. Może to skrajny egoizm, lecz wolę, by mnie czytano, a nie widziano. To też sposób na życie.

Wkurza mnie Ogoniasty, płacze myśli, łązi po kościele, miesza modlitwę. Jestem wściekła.

Całkowicie mnie rozwaliło. Znowu przybliżam się do wspomnień ostatnich dwóch lat,

ale muszę jeszcze trochę milczeć.

Anioły trochę mnie chronią, inaczej nie wiem, co by było.

Przetrwałam delirkę, zawał serca, gruźlicę płuc, niebyt, więc i z tym sobie poradzę. Z pomocą Boga i terapeutów. Lecz w tej chwili mierzę się z Panem Bogiem. Kłęczę.

Ogoniasty znikł. Anioła Śmierci też nie czuję. Jestem trzeźwa.

Panie Boże, nie, nie jestem jeszcze gotowa. Przyjmij mnie taką, jaka jestem teraz. Powoli zaczynam czuć.

Czuję wielki ból w okolicy serca. Czuję uczucia innych i nie jest to takie straszne. Lecz nie wierzę, że ktoś może mnie pokochać.

Ile samoudręczenia, ile zostało czasu?

Ilu ludzi zawiodę? Mam ochotę obdrzeć się ze skóry, żeby tętniła świeża krew, aż do wykrwawienia.

Przez dziesięć lat to czyniłam i odnawiałam się jak jaszczur. Ciało mówi stop.

Sama przystanę, odpocznę, pomodłę się na waszym grobie - o Boże, dlaczego nie płacę? Takie mam na grobowcu epitafium.

Kiedy spotykałam się z bratnią duszą, prowadziłam ją na cmentarz Rocha i pokazywałam grób Haliny Poświatowskiej. .

Czy można zaufać osobie w tylu postaciach.

Dla Boga jestem jedna, tylko która?

Ta zamknięta w swoim Królestwie nie z tego świata? Ta w lęku przed całym światem? Zaszuchana w bicie serca, wyjąca o spokój - to prawdziwa twarz Barbary Rosiek.

Tak, Sebastianie, na swoje nieszczęście nie wyszłam z narkotyków.

Już jest po wszystkim. Boję się.

Lęk to mój jedyny towarzysz, oprócz Ogoniastego. To uczucie, które nigdy nie zawiodło. Dochodziło do stanów paniki i wtedy musiałam uczynić cokolwiek, by się ratować przed samą sobą.

Kiedy powracały halucynacje i zmieniała się czasoprzestrzeń, lęk wzmagał się i robiłam sobie kolejną krzywdę.

Lęk towarzyszy wszystkim psychologom i nałogowcom. Boimy się własnego cienia, a co dopiero rzeczywistości.

Do pewnych sytuacji dojrzewa się przez całe życie albo nigdy. Kiedy tak leżysz pod respiratorem i oddycha za ciebie maszyna, to przejmujące doznanie, chociaż na jawie tego nie pamiętasz.

Jest to jakiś rodzaj oczyszczenia, by móc wrócić do życia, do jakiegokolwiek życia.

Niech żyje bal.

Lecz nawet bal musi kierować się pewnymi zasadami, nie da się wszystkiego wytańczyć, potrzebna jest też chwila na wyciszenie, na skupienie, liczenie się z uczuciami innych.

Są ludzie, którzy ufają, pomimo tego szaleństwa, rozpacz i nieprzewidywalnych zdarzeń.

Ile wysiłku kosztuje przytulenie się do kogoś, przytulenie kogoś.

Czasami inni dzwoniли do doktora Marka, by zapytać, co ze mną mają uczynić. Ale doktor Marek, jak zwykle tajemniczy i dyskretny, zostawiał to, bo wiedział, że sama przyczołgam się na oddział, kiedy uznam, że tak trzeba.

Chorowanie na gruźlicę płuc niczego mnie nie nauczyło, tak jak ludzie z rakiem płuc

nie rezygnują z palenia papierosów.

Rzuciłam palenie pięć lat temu.

Kiedy jestem trzeźwa, jestem spokojnym człowiekiem. Po narąbaniu się wyłazi ta druga, mroczna natura, siła, która niszczy wszystko, co żywe.

Pali wszelkie mosty. Picie do lustra lub skok w przepaść.

A w nocy telefon do doktora Marka, kiedyś przesadziłam, zadzwoniłam około trzeciej nad ranem. Reszta to tajemnica.

Życie wymyka się spod kontroli. Gdzie jest klucz do łazienki? Dłużej tego nie wytrzymam.

Na trzeźwo poszłam do knajpy i nie poznałam barmana. To mnie trochę przeraziło, ale po wypiciu pierwszego drinka uspokoiłam się. Tylko zapytałam siebie w myślach, czy to początek dna. Ale tak w ogóle to miałam inne problemy. Zrobiło się jajco i nie wiem, jak sobie z tym poradzić. Lecz to tajemnica dwojga wspaniałych przyjaciół.

Rozmyślam, zastanawiam się, kojarzę pewne fakty i nic. Wiem, że to brzmi trochę zagadkowo, ale nie potrafię sobie z tym poradzić. Więc zapijam, by nie kojarzyć, nie szukam już pretekstu, by chlać i łykać prochy, robię to, by przeżyć do następnego rana. Chyba pójdę do T.Z. po skierowanie na badanie krwi, tzw. próby wątrobowe, bo wątroba już tego nie wytrzyma.

Czuję się strasznie, jeżeli w ogóle słowo „strasznie” coś znaczy.

Nie mogę skupić się na tekście, nie sprzątam, tylko jeszcze wchodzę do wanny, by pogadać z Panem Bogiem.

Śniłam, że jestem nad przepaścią, a za plecami nie było odwrotu. Obudziłam się o czwartej rano i głęboko oddychałam, by poczuć w sobie życie.

To jest tak, że cały świat wali się w jednej sekundzie. Niesamowite, powinnam się już

do tego przyzwyczaić.

A jednak stale się dziwię, jak każdy normalny człowiek.

Bezsensowny ból.

Będę musiała do końca życia być w niepewności. Jeżeli jesteś niepewny uczuć osoby, której zaufałeś, a nie możesz poznać prawdy, co wtedy zrobisz? Jajco. Już niczego nie rozumiem.

Jestem po detoksie, byłam tam jedenaście dni i wytrzeźwiałam od wody i prochów.

Doktor Andrzej warknął na mnie i się zdecydowałam, już nie potrafiłam sama wytrzeźwieć. To naprawdę mogło skończyć się tragicznie. Pierwsze dni były bardzo trudne. Mąciło mi się w głowie, halucynowałam, chciano mnie odesłać do psychiatryka. Ale tak w ogóle to super, sześciu facetów i ja.

I stało się, wytrzeźwiałam w ciągu kilku dni, prawie to przespałam, panowie przynosili posiłki do łóżka, pielęgniarki wspaniałe, lekarze OK, doktor Andrzej zmienny jak huragan, ale walczy o tych, którzy chcą się leczyć. U mnie jest, niestety, problem leków, nigdy nie będę czysta. Ale nie muszę sobie dokładać prochów i zapijać tego wszystkiego spirytusem.

Rano miewam stany depresyjne do czasu, kiedy nie zaczną działać leki. Ale zdecydowałam się na jedenastotygodniową, codzienną terapię, cały cykl trwa dwa lata. Jeżeli oczywiście nie zarwiesz sprawy i nie zaczniesz od nowa chlać.

Ogrodowa 66, Święte Miasto. Podpisałam regulamin trzeźwości.

No cóż, trzeba się trochę poratować, od przyszłego tygodnia tam idę, ale cicho, sza. Obowiązuje tajemnica. Coś tam czasami skrobnę, bez szczegółów.

Nie myśl, Drogi Czytelniku, że zrobiłam to dla tej książki, chociaż już zapewne tak myślisz, ja czasami też się o to podejrzewam, ale nie.

Dłużej bym tego nie zniosła, na detoksie znalazłam trzy miejsca, na których mogłabym się skutecznie powiesić. Ale tego nie zrobiłam.

No i OK, gra. Trzeźwość, badania w normie, płuca czyste, serce bije spokojniej. Miałam dużo szczęścia, że podjęłam dwa tygodnie temu taką decyzję. Wszystko mi kompletnie zwisało, chciałam jedynie nigdy nie wytrzeźwieć.

W telewizji reklamy piwa, ale etap piwa już dawno mam za sobą.

Gorzej było, gdy na filmie pili drinki.

Kotański nauczył mnie, jak się wychodzi z narkomanii, ale wróciłam do picia, kiedy rozsypało się moje życie. Przepraszam, Marku.

wrzesień 2002

Jestem po detoksie alkoholowym. Chodzę na siedmioletnią terapię.

Pani Alicja wróciła z urlopu, do doktora Marka wysłałam list, jakby bojąc się spojrzeć mu w twarz, a przecież najwięcej wiedział o moim ostatnim picciu. Później do niego zadzwonię.

Byłam wczoraj u T.Z. Po leki nasercowe, boli mnie też wątroba, trzustka i nerki. Cztery miesiące w ciągu, zapijanie psychotropów spirytusem.

Teraz próbuję się pozbierać, poskładać. Pokochać stan trzeźwości. Jestem na głodzie.

Dzielnie maszeruję na terapię, odrabiam lekcje z nauki o własnym picciu.

I śnię, codziennie śnię psychiatryki i lęki, że zabiorą mi terapię.

Dałam doktorowi Andrzejowi schizo - zrobiłam to, oswoiłam go w sobie i już się jego nie boję, czuję, że rodzi się jakaś cicha rywalizacja, a może to jedynie moja chora wyobraźnia.

Tak sobie myślę, czując, że umieram, że chcę dokończyć te książki, tak na przekór diabłu.

Jaki marny bywa los człowieka uzależnionego od chemii, dopóki nie przestanie wierzyć, że jest Bogiem. Później rządzi nim flaszka.

Pragnę mieć spokojniejszy sen, przecież biorę psychotropy w dawkach leczniczych, organizm mam odtruty także od prochów.

Dawno nie byłam taka trzeźwa. Hm.

Od razu poodpisywałam na listy i je wysłałam, potrafiłam zaadresować kopertę. Nie mam zaników świadomości, nie gubię się w tłumie. Jeszcze towarzyszy mi lęk przed ludźmi i światem. Ale wezmę leki i depresja, chęć samobójstwa przechodzą. Musiałam doprowadzić się do ruiny, by poczuć. Kiedyś bywało podobnie, ale niczego się nie nauczyłam.

Teraz mogę jedynie wytrzeźwieć lub umrzeć. Trzydzieści lat trucia się.

T.Z. powiedział, że mam już zespół organiczny z pewnym otepieniem. On myśli, że idę się zabawić. Już tyle się dowiedziałam, chcę być teraz wielką egoistką i żyć najpierw dla siebie, bo przeważnie tego nie robiłam.

A więc do dzieła, Basiu. Czas zmierzyć się z potworem.

listopad 2002

Nie pisałam miesiąc, w tym czasie dokończyłam tomik zadedykowany śp. Tacie i wysłałam do druku zupełnie inny wiersz.

Pamiętam ostatnie cztery miesiące ciągu, pod koniec, zanim poszłam na detoks, zapijałam spirytusem prawie sto psychotropów dziennie. Cóż, można i tak umierać.

Wcześniej przypominam sobie cztery doby delirki, był to film, który nie mógł się skończyć, a nikt nie potrafił mi pomóc.

Byłam przyćmiona, że się wyrażę jak moja Mama. Gdy w szpitalu doprowadzano

mnie do stanu pozornej używalności, wypisywałam się na własne żądanie, na przykład o czwartej rano. Doktor O. ze szpitala im. Mickiewicza w moim mieście czynił wiele, by mnie ratować, za co mu jestem bardzo wdzięczna. Nie mógł jedynie ocenić mego stanu psychicznego, jak to się fachowo nazywa. Ja po prostu cały czas nie kontaktowałam, bo byłam w delirce, a otoczenie odbierało mnie jako osobę wiedzącą, co czyni. Nic nie pamiętam. To były cztery doby horroru.

Wcześniej byłam w podobnym stanie, kiedy po prochach i wódzie wędrowałam dwie doby po mieście, nie mając żadnej świadomości. Mogłam zostać skrzywdzona, ja mogłam skrzywdzić, mogłoby mnie już nie być. Z opowiadań salowej kilka dni później dowiedziałam się, że półnaga tańczyłam z kroplówką na odcinku męskim. Ile czasu trzeba, by sobie wybaczyć?

Zostawiłam Tatę samego, Mama wracała z sanatorium po operacji. Jak mocniej mogłam ich zranić w czterdziestym trzecim roku życia? Nie zgodziłam się na pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Czegoś się bałam.

Pamiętam, że jak już dochodziłam do siebie, rozszlochałam się jak małe dziecko. Jak wymowny był to płacz. Cała udręka istnienia. Umiałam się jedynie zabić.

Rodzice znieśli wszystko, nie rozumieli jedynie, dlaczego tak tonę, nie wiedzieli prawie nic, prosiłam doktor Marysię ze szpitala im. Mickiewicza, by nie mówiła za dużo Mamie. Przecież gdybym była świadoma, nigdy bym tak z nimi nie walczyła. Przeważnie jestem bardzo zdyscyplinowaną pacjentką i szanuję pracę lekarzy i pielęgniarek.

Tylko siebie nie szanowałam, zatruwając się. Życia nie szanowałam. Boga nie szanowałam. A przecież dał mi kolejną szansę, nie siódmą, tylko siedemdziesiątą siódmą. I to nie był jeszcze koniec. Ale o tym dowiedziałam się później.

Potem obraziłam się na Boga i przez cztery miesiące przekomarzałam się z nim, czy mam żyć. Tak jak w "Kokainie", „Pamiętniku narkomanki”, „Schizofrenicze”, jak w wierszach. Czy mi w końcu uwierzysz, Panie Boże, że zrozumiałam? Ale o tym będzie innym razem.

Po czterech miesiącach walki o przetrwanie, doczołgałam się na detoks na Ogrodową

66, nie mogłam iść do doktora Marka, bo już był na emeryturze, ale wiedział, co się ze mną dzieje. Jednak nawet jego nie słuchałam. Płakałam wewnątrz.

W końcu, szesnastego sierpnia, przyczołgałam się do szpitala. Nie chciałam się początkowo zgłosić na leczenie, niewiele pamiętam, Andrzej na mnie nakrzyczał i się obraził. W drodze do domu zastanawiałam się, co ja powiem tej biednej Matce. Spakowała mnie i pojechałam taksówką. Andrzej już na mnie czekał, sam wypisał skierowanie i zaległam w łóżku pod kroplówką. Dostawałam co dwie godziny psychotropy.

Dyżur przejęła doktor Magda, halucynowałam jej w nocy i chciała mnie odesłać do psychiatryka. Nie godziłam się, nie mówiłam jej wszystkiego, by mnie zatrzymała. Pierwszą noc spędziłam w kaftanie bezpieczeństwa.

Nie rozróżniałam jawy od snu, ale to był mój naturalny życiowy stan, więc potrafiłam zachowywać się pozornie normalnie. Jednak nie w nocy, w nocy budzą się we mnie demony, które niszczą wszystko.

Znalazłam cztery miejsca, w których mogłam się powiesić.

Andrzej wrócił na dyżur, przyznałam się, że dzieje się ze mną coś niedobrego, też chciał mnie odesłać na psychiatrię, ale Mama przywiozła leki psychotropowe, które biorę codziennie, i się trochę uspokoiłam. Andrzej zostawił mnie na detoksie na Ogrodowej 66.

Zginął Marek Kotański, mój terapeuta i przyjaciel, kiedyś zakładaliśmy Monar, to przy mnie pojawiła się ta idea, w którą wielu chyba wątpiło, znając szalone pomysły Kotana. Ale dostał dom w Głoskowie i tak się zaczęło, nigdy nie sadziłam, że Go przeżyję. Bóg zabrał Go tak po prostu. Tak jak nagle i niespodziewanie zabiera narkomana, którym przecież Kotan nigdy nie był.

Gdy miałam dziewiętnaście lat, powiedziałam Mu - wybawieniem będzie śmierć. A On tak bardzo chciał żyć, tak niesamowicie cenił życie każdego człowieka. Ja konałam na detoksie, a On już był Tam.

I mnie poniekąd uratował, zaszczepił pierwszy odruch ratowania własnego życia.

A mnie marzyło się powieszenie. Nie, to nie tak, głosy nakazywały odejść. Zapytałam Mamę, co porabia sama wieczorami teraz, gdy jestem na detoksie. Usłyszałam odpowiedź, której zupełnie się nie spodziewałam.

- Wyć się chce - powiedziała. W końcu to usłyszałam.

Myśli samobójcze towarzyszyły mi stale, jak natrętne osy wokół cudnego kwiatu zwanego życiem.

Panowie przynosili mi posiłki do łóżka, był piękny sierpień, wokół meliny i nawaleni alkoholicy.

Tato, proszę, jeszcze tu trochę pobędę.

I zaczęło się dziać, dostałam halucynozy. Noc, leżę w łóżku, za oknem pijani ludzie, a wokół mnie chórek głosów osądających za całe życie, coś w rodzaju Sądu Ostatecznego. Głosy gadały i gadały, a ja bałam się ruszyć i tak przez cztery noce. Myślałam, że już to się nie skończy. Jednak „na górze” uznano, że jeszcze mam pozostać. Podczas piątej doby usnęłam.

Halucynozą sama w sobie nie jest zła, jesteś cichutko, wsłuchujesz się w swoje wnętrze, które jest zewnętrznym odbiciem tego, co uczyniłeś. Halucynacja już dalej cię nie doprowadzi - oszalałeś kompletnie. No, może oprócz delirki.

Pamiętam dwunastogodzinną delirkę u doktora Marka. Darłam mordę przez dwanaście godzin i żaden lek nie był w stanie mnie wyciszyć. Prawie cały oddział nie spał przeze mnie, bo darłam się od piętnastej do trzeciej nad ranem. I nie byłam w ogóle zmęczona, przywiązana pasami do łóżka wykrzykiwałam swoją niemoc, czego nie pamiętam. Szkoda, że nie filmują takich stanów jako przestrogi dla innych. Chociaż nie chciałabym być filmowana.

W uzależnieniach osiągnęłam już wszystko, oprócz neuropatii i AIDS. Niedawno rozmawiałam z doktorem Markiem, co będzie dalej, i on na to, że HIV wyszedł już z mody.

Mój zmysł estetyczny chyba by tego nie wytrzymał, wystarczy, że na tych cholernych

torach tramwajowych leżałam zaszczana. Gdybym wiedziała, jak daleko zajdę w nałogach... Zachorowałam.

Biedna ta moja Matczyna. Nie przerobiła tylko wyroku śmierci, bo śmierci kliniczne i inne tam sprawy wytrzymywała, aż dostała podwójnego zawału.

Kocham Ją bardzo, miałam zawsze komfort chłania i ćpania, bo Rodzice nigdy nie wyrzucili mnie z domu. Nigdy bym nie wyrzuciła swego dziecka na poniewierkę, by mi umarło na melinie.

Wsparcie Rodziców w moim przypadku było zbawieniem. Może to dłużej trwało, ale żyję i teraz, gdy jestem sama z Mamą, nie mogę oczywiście wymagać, by od razu powtórnie zaufała, lecz spokojnie całuję Ją na dobranoc lub dzień dobry bez smrodu wody w moich ustach.

Wyrzucenie z domu kosztem życia? Który z rodziców by to wytrzymał?

Może bronię własnej przepitej i przećpanej duszy, ale gdyby nie Rodzice, już by mnie nie było.

Janka, terapeutka z Ogrodowej 66, namawiała mnie na detoksie na dalszą terapię. Zgodziłam się, może bardziej z ciekawości poznawczej niż chęci ratowania życia, przynajmniej na początku tak to wyglądało. Bałam się psychoterapii grupowej. Zawsze byłam samotnym wilkiem stepowym i niekiedy ukłucie ostrokrzewem przypominało, że należę do tzw. ludzi stadnych.

Bo przecież „w życiu piękne są tylko chwile”. Ale dopiero teraz wiem, że życie jest całością.

Zło, które zawsze mnie przerastało, teraz może być dodatkiem do pięknej duszy, ale o tym innym razem.

Po detoksie byłam oczyszczona ze wszelkiej trucizny, siadały mi nerki, trzustka i wątroba były zdecydowanie wrogo do mnie nastawione. Ale po trzydziestu latach zatrucia się zachowałam słońce w sercu.

Modliłam się o pragnienie wyjścia z piekła w jasność. Znowu powiedziałam Bogu - nie!

Zawsze obok szatana był chór aniołów. Bóg znów mnie uratował, więc nie chciałabym sprawdzać Go jeszcze raz. Śniłam i śniłam, aż Andrzej zapytał, czy chodzę siusiu, a ja nawet się kąpałam raz dziennie. Mamo, za bardzo za Tobą tęsknię.

Do śmierci Taty wydawało mi się, że moim bliskim nic złego nie może się zdarzyć.

Ostatnia noc na detoksie minęła spokojnie.

Cholernie bałam się stamtąd wyjść, myślałam jedynie o nachlaniu się. Uważałam, że nie dam rady na wolności.

Andrzej podał mi rękę. Do zobaczenia na terapii.

Szanowna Pani Alicjo,

Wytrzeźwiałam, to straszne.

Nie wiem, kim jestem i co mam robić.

Oglądałam filmy o aniołach i marzę, by nawiedził mnie taki anioł. Wystarczy się pomodlić, ale ja teraz się nie modlę. Chyba Ogoniasty zabrał mi ten dar. A może ja sama znowu się zbuntowałam. Ma Pani rację, model ze mnie niesamowity, ale i cierpienia jest w tym za dużo, za dużo.

Czasami się wydaje, że moje życie to jedno wielkie jajco. Jak to rozumiem? Po prostu jajco. Ale życie codzienne to nie gra, a mnie się zdaje, że stale kręcą jakiś film z moim udziałem. Tylko czasami nie pamiętam scenariusza.

Jak się będę tak dalej zatruwać, to w końcu zapomnę o wszystkim. I zamkną mnie w jakimś zakładzie.

I dobrze.

Ale życie bywa takie zaskakujące, może ktoś kiedyś będzie jeszcze potrzebował mojej pomocy. Wszystko jest przecież możliwe.

Trzeźwość bywa obrzydliwa. Życie złudzeniami jeszcze gorsze. Samotność jest do przeżycia w fantazjach. I co dalej? No właśnie, co dalej?

Chcę odpocząć od siebie, ale to chyba niemożliwe.

Chyba dopiero po śmierci.

23 lipca 2002

Barbara Rosiek

CZEŚĆ II

Mam na imię Barbara.

Jestem alkoholiczką i narkomanką.

PS Drugą część napiszę za kilka lat (jeżeli oczywiście dożyję).